Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII
Niedziela, dnia 21 maja 1939 r.
Nr. 21



Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

XIX

NOWA MISJA DANIELI

Od Morza Chińskiego wiał wiatr, mający wszelkie cechy huraganu. Morze się burzyło i warczało, jak olbrzymia sfora zgłodniałych psów. Na małej przystani, do której przybijały tylko dżonki rybackie, stał człowiek w płaszczu gumowym i, wystawiając się na wiatr i siekący go deszcz, wypatrywał na morze i wyraźnie zdawał się czekać na kogoś.

Gdzieś bardzo daleko na morzu huknął strzał działowy, jakby jaki statek dawał znać, że jest w niebezpieczeństwie.

— Jeśli to oni — powiedział do siebie człowiek stojący w przystani — to zginą niechybnie. Chociaż... parowiec ma silne maszyny i silne kotwice. Potrafi się utrzymać pod wiatr długi czas i nie pozwoli roztrzaskać się o wybrzeże.

A wiatr tymczasem dął i dął i z minuty na minutę zdawał się jeszcze zwiększać siły. Morze Chińskie bywa bardzo burzliwe i bardzo niebezpieczne. Nieustannie hulają po nim tajfuny, straszliwsze od kalifornijskich orkanów. W ciągu paru minut potrafią one nie tylko wpędzić na wybrzeże nawet silny i dobrze zbudowany parowiec, ale znieść z powierzchni ziemi masywnie zbudowane, murowane domy. Tym razem wiatr nie miał wprawdzie jeszcze siły zwyczajnego tajfunu, ale był tak silny, że stojący na przystani człowiek z największym trudem tylko utrzymywał się na gruncie stałym. Dokoła była pustka całkowita. Rybacy chińscy ukryli się w w swoich lepiankach przed wiatrem i deszczem, chociaż wiedzieli, że gdy nadejdzie tajfun, żadna z nich chat nie będzie w stanie oprzeć się jego sile.

Człowiek na przystani wytężył jeszcze silniej wzrok i patrzył dłuższy czas na morze, gdzie w odległości kilku mil borykał się z wiatrem i falami rozkołysanego morza parowiec.

— Ten kapitan zna swoje rzemiosło — mruknął znowu człowiek na przystani i nawet uśmiechnął się także do siebie.

A statek, walcząc z setką co najmniej przeciwności, zwolna zbliżał się do przystani.

— Dlaczego jednak strzelano?

Na to człowiek na przystani odpowiedzieć sobie nie umiał.

W odległości mili parowiec odwrócił się dziobem pod wiatr i wydało się, że stanął w miejscu. Było to wprost niemożliwością utrzymać się tak pod wiatr, ale człowiek na przystani domyślił się, że jednak w rzeczy samej tak jest. I domyślił się także, że zapewne puszczono w ruch wszystkie maszyny i zakotwiczono statek w ten sposób, aby stawić wiatrowi największy opór.

Po godzinie człowiek na przystani zobaczył szalupę, rzuconą na falach jak maleńka łupinka orzecha. Chwilami szalupa ta niknęła w bezdni morza, to znowu wydostawała się na szczyty białych grzyw olbrzymich bałwanów, ale wciąż jednak utrzymywała się na powierzchni.

— To pewnie oni — szepnął człowiek znowu.

I teraz zeszedł ze swego posterunku i ruszył ku szałasowi, gdzie w czasie pogodnym rozwieszano i reperowano sieci. Tutaj postanowił czekać na przybicie szalupy do brzegu.

W dwie godziny później zobaczył na wybrzeżu dwoje ludzi: kobietę i mężczyznę, którzy wyskoczyli z szalupy i skierowali się ku szałasowi, w którym on szukał schronienia.

— Hallo, Corbin! — zawołał mężczyzna.

— Jestem! — odrzekł człowiek w szałasie.

— Oto madame D 27. Polecam ją pańskiej opiece.

— Bardzo mi będzie miło służyć pani.

Chińczyk oddał kobietę w ręce czekającego białego i odszedł ku szalupie.

— Czy my tu zostajemy? — spytała panna Berthier.

— Chwilowo, dokąd się wiatr choćby trochę nie uspokoi i nie ścichnie.

— Ten wiatr może tak dąć dwie doby.

— Ale może i każdej chwili ustać.

— Może, ale nie ustanie. Znam tutejsze wiatry zbyt dobrze.

— Możemy zajść do jednej z tutejszych lepianek, aby się choć trochę od wiatru uchronić.

— Proszę prowadzić.

— Dlaczego parowiec strzelał? — spytał już w lepiance Corbin.

— Jakiś japoński krążownik nas ścigał.

— I?...

— I nie dogonił — zbiegliśmy.

— A jak będzie z powrotem?

— Zmienią napisy i zmienią się w spokojnych handlarzy kochinchińskich. Wreszcie — Japonia nie prowadzi przecież wojny z nikim, bo jej nawet Chinom formalnie nie wypowiedziała dotąd.

— Racja. Niech pani spocznie.

— Corbin, co mi pan ma do powiedzenia?

— Bardzo wiele.

— Słucham więc.

— Czy pani chce wysłuchać rozkazów natychmiast?

— Tak, życzę sobie tego.

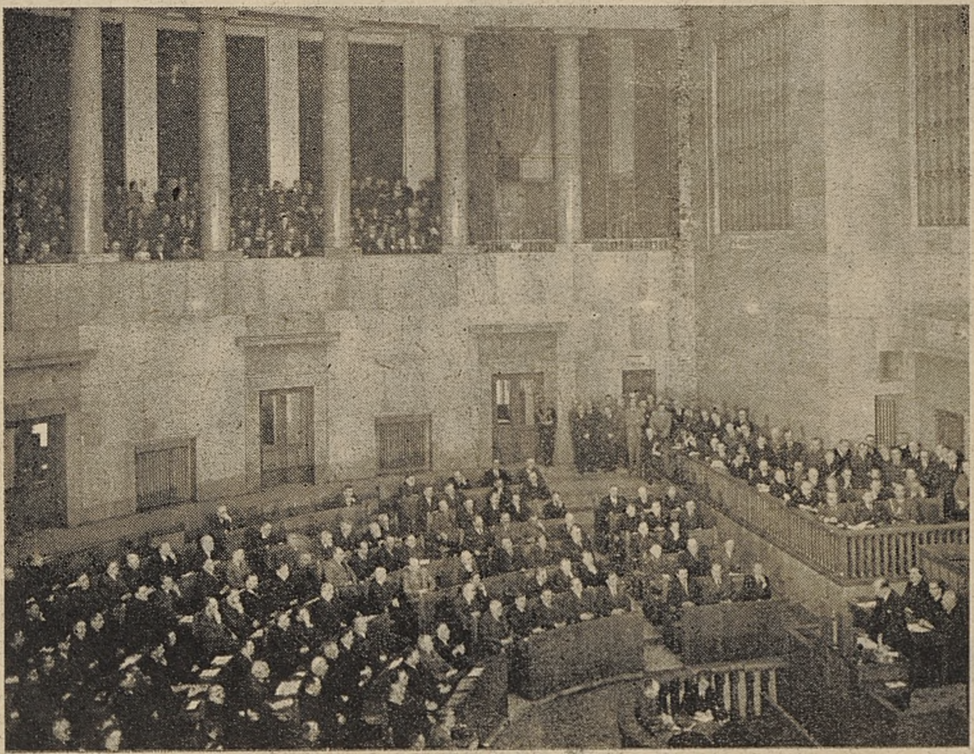
— Dobrze, zatem proszę słuchać: jak pani wiadomo, porozumienie zawarte przez nasz rząd z rządem angielskim dopuszcza wspólną działalność wywiadowczą na terenie Chin, a przeciw Japonii.

— Wiem o tym.

— Mówię to po to jedynie, aby dalsze instrukcje stały się dla pani zrozumiałe. Otóż ostatnimi czasy działamy wspólnie z naszymi przyjaciółmi Anglikami. Oswobodzenie pani z niewoli japońskiej było majstersztykiem wywiadu chińskiego, ale nie bez udziału Anglików i niektórych naszych ludzi. Pewnie jeszcze do tej chwili Japończycy niczego się nie domyślają. Wyobrażam sobie ich miny, gdy się dowiedzą prawdy.

— Proszę nie zapominać o tym, Corbin, że w Szanghaju jest Yiszika!

— Wiem o tym, ale i ona nieprędko trafi na właściwy ślad. Ale mniejsza. Otóż rozkazy są takie: Dostanie się pani samolotem do Antung na terenie Mandżurii, a stąd pojedzie koleją przez An-szu, Seul do Fusan na Korei. Tutaj zgłosi się do pani człowiek, który zawiezie ją łodzią na statek holenderski. Statek ten zawinie po drodze do Nagasaki, Kagoszima, objedzie południowy cypel wyspy Kiusziu i uda się do Kobe. W Kobe i w Osaka będzie pani miała za zadanie dowiedzieć się, jakie zamiary chowa rząd



W dniu 5 maja z trybuny sejmowej przemówił pan min. spraw zagr. Józef Beck — odpowiadając z godnością na pełne tupetu żądania niemieckie

Poranna przejażdżka króla angielskiego Jerzego VI z obiema córeczkami.



Sławna nasza kawaleria defiluje w dniu 3 Maja

japoński w sprawie spornych wprawdzie, ale nominalnie do naszej republiki należących wysp z grupy Parascellus na Oceanie Spokojnym. Jest to sprawa niezmiernej wagi i wymaga bystrości umysłu ogromnej ostrożności i szybkości w działaniu.

— Chwileczkę... Proszę mi powiedzieć datę dnia dzisiejszego.

— Dziś mamy 20 sierpnia.

— Dziękuję. Niech się pan nie trudzi z dalszymi instrukcjami, gdyż ja nic już robić nie mogę i nie chcę. Na terenie Chin jestem skończona. Poza tym jestem tak bardzo wyczerpana, że koniecznie potrzebuję wypoczynku. Chin mam dość, tak dość, że jedynym moim pragnieniem jest dostać się jak najprędzej do Paryża.

— Madame...

— Słucham pana?

— Pani zdaje się widocznie nie rozumieć dobrze, na co się naraża.

— Na nic się nie narażam. A jeśli pragnie pan dowiedzieć się jakichś bliższych szczegółów, mam nadzieję, że udzieli ich panu chętnie gubernator Szanghaju, pan Haillcourt. Proszę się do niego zwrócić w tej sprawie. A teraz proszę mnie zaprowadzić na miejsce, gdzie ma czekać na mnie samolot.

— Przy takim wietrze, jak obecny, samolot nie wystartuje.

— Ale tam znajdę przynajmniej skromne schronienie przed wiatrem w kabinie. I mam nadzieję, że nie będzie tam tyle insektów, ile ich jest w tej tu lepiance chińskiej.

— Jak pani każe.

I Corbin, zdumiony postępowaniem panny Berthier, nic już nie rzekł, ale zakręcił się w swój nieprzemakalny płaszcz i poszedł przodem. Daniela, spowita w ciepłe futerko i szal, podążała za nim wytrwale, nie myśląc już więcej ani o swej dotychczasowej pracy, ani o tym, że odmówiła spełnienia rozkazu, przez co mogła przecież narazić się na zemstę tych ludzi, którzy jeszcze tak niedawno ją uwielbiali, ale pragnęła jedynie możliwie najspieszniej dostać się do Paryża.

Do Paryża, do Paryża, do Paryża! — wołało w niej wszystko.

Potem znowu przyszło jej na myśl, czy też Fryderyk stawi się na umówione miejsce w hotelu Claridge. Pierwszego października o godzinie 9-ej wieczór. To już tak przecież nie daleko. Jeszcze czterdzieści jeden dni tylko.

Na wspomnienie Fryderyka, człowieka, który tyle dla niej wycierpiał, uczuła dziwny żal, a zarazem i dziwne ciepło w okolicy serca. Na myśl, że mógł on zostać zamordowany, że nie zobaczy go już nigdy w swoim życiu, tak dziwny skurcz chwytał ją za gardło i takie łkanie zrywało się w jej piersi, że omal nie wybuchnęła płaczem. Ale znowu napłynęły nowe myśli, nieco weselsze i nieco jaśniejsze i rozproszyły te ciężkie chmury. Toż ona sama bywała nieraz w takich opałach, że zdawało się — nie ma najmniejszej nadziei, a jednak zwykle wychodziła obronną ręką i włos z głowy jej nawet nie spadł.

Po godzinie doszli do niewielkiej łączki wśród wzgórz, na której, zasłonięty od wiatru wysokim pagórkiem, stał zakotwiczony samolot. Lotnik siedział w kabinie, otulony futrem i zdawał się drzemać. Na kolanach miał karabin do użycia w razie potrzeby.

— Hallo, Jean! — zawołał już z daleka Corbin.

Lotnik natychmiast podniósł głowę i spojrzał w stronę, gdzie go wołano.

— Oto madame Berthier. Zawiezie ją pan do Antung.

— A któż to panu powiedział, monsieur Corbin, że ja zamierzam jechać do Antung? Ten pan zawiezie mnie tam, gdzie ja rozkażę. Zdaje się, panie Corbin, że z chwilą udzielenia mi instrukcyj, pańska rola się skończyła?

— Madame...

— Żegnam pana, panie Corbin. A kłaniaj się doktorowi Wangowi i poproś przy okazji, by mnie odwiedził w Szanghaju.

— Adieu, madame.

— Do widzenia, panie Corbin.

Agent, wściekły, oddalił się, aby szalupą doktora Wanga dostać się na statek i na jego pokładzie wrócić do Szanghaju.

Daniela została sam na sam z lotnikiem.

— Proszę pana — spytała — czy przy takim wietrze możemy próbować startu?

— To zbyt niebezpieczne, madame.

— Ale chyba nie na tyle niebezpieczne, aby nam groziła katastrofa zaraz przy starcie.

— Różnie wydarzyć się może.

— Czyj to samolot?

— Mój własny, jeśli pani na tej wiadomości zależy.

— Może go pan przeto użyć w każdym kierunku, gdy panu kto zapłaci?

— Mniej więcej tak, chociaż obecnie jestem już zapłacony do Antung.

— Więc i pan ma rozkaz odwiezienia mnie do Antung?

— Tak, pani.

— A jeżeli ja nie zechcę jechać tam, gdzie panu wyznaczono lot?

— Zastosuję się do pani rozkazów. Mam, zresztą, rozkaz posłuchać pani. Co zatem pani rozkaże?

— Chcę odlecieć stąd natychmiast do Szanghaju. Jak daleko stąd będzie do tego miasta?

— W linii powietrznej 900 kilometrów.

— Ile godzin potrzebuje pan na odbycie tej trasy?

— Najmniej trzy godziny. Ale na bezpośredni przelot nie starczy mi paliwa.

— To drobnostka, możemy przecież zawadzić o Nankin i nabrać benzyny.

— To prawda, lecz przy takim wietrze...

— Ten wiatr dmie z taką siłą tylko do wysokości trzystu metrów, a my przecież możemy z powodzeniem lecieć na wysokości dwóch i trzech tysięcy metrów.

— Możemy, madame.

Lotnik zabrał się natychmiast do oporządzenia maszyny i w kilkanaście minut później już motor grał swoją pieśń, wstrząsając całym kadłubem. Daniela ulokowała się w kabinie obserwatora, włożyła na oczy okulary i czapkę skórzaną, na ramiona wciągnęła ciepłą kurtkę i była gotowa do lotu.

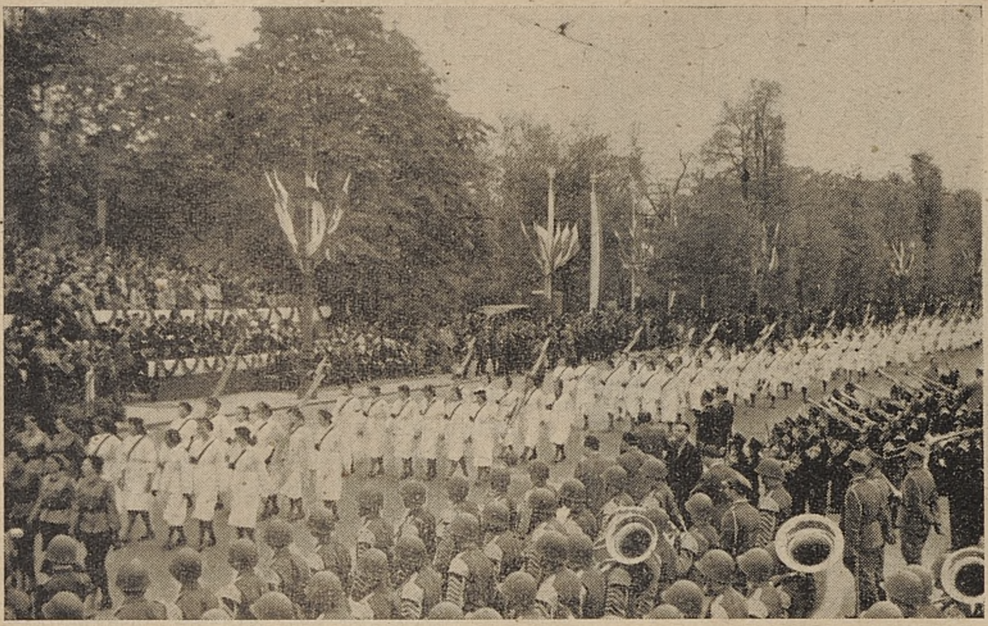
Zapomniała pani o jednej najważniejszej rzeczy, a mianowicie o spadochronie. Bez tej „drobnostki", która w wypadku przygody bywa wszystkim dla lotnika, nigdy zapominać nie należy.

— Mam pewność, że dolecimy do celu bez najmniejszego wypadku.

— Możemy dolecieć, madame, ale i nie możemy. Tego nigdy nie można być za bardzo pewnym. Dlatego proszę jednak włożyć ten parasol.



Pan Marszałek Śmigły Rydz jest postacią niesłychanie popularną, szczególnie wśród dziatwy.



W defiladzie trzeciomajowej wzięły udział karne szeregi pielęgniarek Polsk. Czerw. Krzyża

— Ha, skoro pan nalega — poddała się z rezygnacją Daniela i, włożywszy spadochron, pozapinała pasy.

W chwilę później samolot potoczył się po równinie pod wiatr, a następnie oderwał się od ziemi i, chybocząc skrzydłami to na jedną, to na drugą stronę — zaczął wznosić się szybko do góry.

XX.

POSZUKIWANIA THOMPSONA

Agent policyjny mandaryna Li-Lianga dostrzegł z ulicy znaki dawane mu przez Burthona z wysokości drugiego piętra baru pod „trzema liliami" i natychmiast powiadomił swego szefa. Niebawem zjawił się Li-Liang i popatrzył w górę, gdzie w otwartym oknie stał Anglik, dający mu znaki, aby wszedł do budynku i przyszedł doń. Li-Liang-Czeng zrozumiał wezwanie i, wziąwszy z sobą Su-Fenga i dwóch innych agentów, poszedł szybko tylnym wejściem na piętro.

— Co się stało, mister Burthon? — spytał spokojnie naczelnik policji. — Gdzie jest mister Thompson?

Joe w paru zdaniach poinformował Chińczyka o wypadkach zaszłych w ciągu ostatnich kilkunastu minut.

Li-Liang kazał zaprowadzić się do pokoju, w którym Thompson rozmawiał z Kiusziu. Tutaj zastali Renégo, myszkującego na podłodze, jakby tam szukał czegoś, co było bardzo znikome i gdzieś się zapodziało.

— Hallo, mister Morton, czego pan szuka na podłodze? — spytał pełen spokoju i uśmiechów Li-Liang.

Dziennikarz podniósł głowę, a zobaczywszy nad sobą uśmiechniętego naczelnika policji, powstał i powiedział:

— Mam podejrzenie, że Thompson nie został uprowadzony drzwiami ,które widzimy w przeciwległej ścianie, ale zniknął w jakiś inny tajemniczy sposób, jakby zapadł się pod ziemię.

Małe wąskie oczy Li-Lianga poruszyły się odrobinkę.

— To jest prawdopodobne — rzekł po chwili. — Poszukajmy, a może znajdziemy ślad.

Po tych słowach Li-Liang sam własną dostojną osobą przyklęknął na podłodze i zaczął cal po calu rozpatrywać podłogę. To samo czynili inni, starając się odgadnąć tajemnicę Kiusziu.

Niestety, ich poszukiwania, w miarę jak się przeciągały, były coraz bardziej nierealne. Podłoga była równa i gładka, jak wypolerowany mebel i nigdzie nie dostrzegali najmniejszej rysy, ani też najmniejszego śladu jakiegokolwiek otworu.

— Tutaj nic ciekawego być nie może! — zirytował się w końcu Burthon. Klapa, gdyby taka istniała, byłaby przecież widoczna. Przeszukaliśmy już prawie całą podłogę cal po calu, ostukaliśmy ją, a rezultat żaden.

Ale w tej właśnie chwili René podniósł głowę i przyłożył palec do ust.

— Pst! Cichojcie!

Wszyscy nadstawili ciekawie uszu.

— Gdzieś ktoś jest w pobliżu.

— Może to Thompson? — powiedział prawie radośnie Burthon.

— Zawołajcie — doradzał Li-Liang.

René zaczął wołać:

— Fred! Fred...!

Nadstawili teraz wszyscy uszu. Rzeczywiście, jakiś zduszony głos zdawał się wychodzić jakby spod ziemi.

— Thompson! Thompson! — powtórzył znowu wołanie Jae.

Głos spod ziemi dał się znowu słyszeć wyraźniej. Joe i Li-Liang padli natychmiast na kolana i przyłożyli uszy do podłogi. Po chwili Joe podniósł głowę i rzekł wzruszony:

— Mister Morton, pod podłogą ktoś jest.

— Przecież my znajdujemy się na trzecim piętrze, więc nic dziwnego, że można słyszeć głosy na drugim piętrze — wyraził pogląd Li-Liang.

— A jednak obejrzymy jeszcze raz dokładnie tę podłogę — doradzał René.

— To nie zaszkodzi.

I znowu wszyscy uklękli i zaczęli bardzo pilnie rozpatrywać deski podłogi, piędź po piędzi. Wreszcie Joe zerwał się i zawołał:

— Tu jest wilczy dół. Teraz już wszystko dla mnie jasne. W tym miejscu — wskazał Li-Liangowi — siedział Thompson, tutaj zaś musiał siedzieć Kiusziu, W pewnej chwili nacisnął guzik ukrytej sprężyny i Fryderyk zjechał do Hadesu.

— Poszukajmy więc tego guzika.

Zaczęli znowu bardzo dokładnie oglądać podłogę, krzesła, nogi stołu, wreszcie zdjęli serwetę i szukali na blacie stołu. W pewnej chwili, naciskając palcami równy i gładki stół, Morton poczuł, jakby w pewnym miejscu ugiął się on pod jego naciskiem. Nacisnął jeszcze mocniej i nagle kwadrat podłogi zapadł się z trzaskiem w dół po to, by w następnej chwili znów się wygładzić.

— Eureka! — zawołał Francuz. — Mister Li-Liang, weź pan krzesło i gdy klapa wilczego dołu zapadnie się, wsadź je jako przeszkodę z jednej strony, a ja uczynię to samo z drugiej.

Li-Liang był już przy kwadracie podłogi, Joe nacisnął znowu miejsce, w którym ukryty był tajemniczy guzik sprężyny. Czworokąt podłogi znowu się zapadł, a jednocześnie prawie Li-Liang i Burthon wsadzili w otwór krzesła i unieruchomili go. Wszyscy przypadli do otworu i spojrzeli w dół. Głęboko pod sobą zobaczyli obszerny loch, tak ciemny, że nic w nim dojrzeć nie można było.

— Tam trzeba zejść — doradził Chińczyk. — Jeżeli mister Thompson znajduje się tam, potrafimy go odnaleźć. O ile, naturalnie, żyje dotąd.

— Na pewno żyje. Kiusziu nie miał czasu przecie zamordować go.

— Możliwe. Zatem, schodzimy?

— Naturalnie. Ale w jaki sposób?

— Moi ludzie mają sznur.

Posłano po agentów ze sznurami i niebawem na dno wilczego dołu pierwszy zjeżdżał Li-Liang. Protestowali wprawdzie przeciwko temu zarówno René jak i Joe, ale Chińczyk odpowiedział im z nieodstępnym uśmiechem na ustach:

— Ja jestem przedstawicielem władzy i mam pierwszeństwo przed panami. Poza tym, gdyby mi się co złego stało — nikt z tego powodu nie będzie narażony na przykrości. Podczas gdy z panamija właśnie miałbym wiele kłopotu, bo musiałbym składać raporty, wyjaśnienia i tym podobne komedie.

Obaj biali ustąpili przeto pierwszeństwa Li-Liangowi.

Spuszczenie na sznurze Chińczyka trwało dość długo. W końcu jednak sznur zwisł, co było dowodem, że naczelnik dot-



Groźnie wygląda wynurzający się z wody dziób łodzi podwodnej

knął nogami podstawy twardej. Równocześnie rozległ się jego głos z głębi jamy:

— Halo, Sung, zejdź tu do mnie!

Głos ten wychodził dosłownie jak ze studni. Był przytłumiony i zgłuszony, ale nie mniej dość wyraźny.

Spuszczono na dno agenta chińskiego, a następnie zjechali kolejno: René i Joe. Na dnie dołu panowała absolutna ciemność. Na długość ręki nic widać nie było.

— Ciemno, jak w piekle — powiedział Burthon.

— Musimy sobie czymś rozjaśnić.

— Ja mam lampkę elektryczną — poinformował Li-Liang i równocześnie błysnął w jego ręku snop mlecznego światła. W jego blasku zaczęli rozglądać się dokoła.

Zobaczyli więc obszerną komorę, zupełnie pustą i wąską. Był to zapewne loch, przeznaczony na urządzenie windy. Ale dziwnym się wydać musiało, że prowadził on od parteru do dachu budynku wprost pod pokojami, a nie równolegle do klatki schodowej.

— Ta jama wyglądała na miejsce na windę, ale na pewno ma inne zupełnie przeznaczenie — powiedział Burthon.

— I nie jest pan dalekim od prawdy, mister Burthon — uśmiechnął się Chińczyk. — Czy widzicie panowie ten korytarz przed nami? — zaświecił w kierunku otworu całkowicie wygodnego do przejścia w postawie prostej. — Wiem coś niecoś o podziemiach Szanghaju i z bólem stwierdzam, że wiedzą o nich również wiele i nasi wrogowie Japończycy.

— Musimy to wszystko dokładnie zbadać, mister Li-Liang — rzekł Burthon — I tak zrobimy. Czekajcie, muszę wydać odpowiednie rozkazy. Sung, pojedziesz z powrotem na górę i rozkażesz naszym ludziom, otaczającym ten gmach, aby każdego, ktokolwiek wyjdzie z niego, odwozili natychmiast do komisariatu. Niechaj przygotują tam areszty. Nadto powiadomisz doktora Wanga i przyślesz mi tu kilka silnych lamp elektrycznych.

Sung skłonił się w milczeniu i szarpnął parę razy za sznur. A gdy jeden z agentów pochylił się nad otworem, kazał się wyciągnąć do góry. Po chwili Sung zniknął na górze w pokoju.

W milczeniu wszyscy pozostali na dole mężczyźni czekali cierpliwie na zjawienie się znowu Sunga. Zamiast niego jednak, przybył Su-Feng, z czego ucieszył się najwięcej René. Przywiózł on cztery silne lampy bateryjne i zapas bateryj i wszyscy czterej zapuścili się w korytarz tajemniczego przejścia.

— Jeżeli Japończycy znają te wszystkie podziemne zakamarki — mówił po drodze Burthon — obawiam się, że los Szanghaju będzie bardzo przykry. Przecież to wymarzone miejsce dla desantu! Cóż łatwiejszego, jak rzucić tą drogę w czasie ataku japońskiego z zewnątrz, kilka batalionów dobrze uzbrojonych, które wprowadzą najzupełniejszą dezorganizację w szykach bojowych chińskich!

— Musimy więc temu przeszkodzić — powiedział spokojnie Li-Liang.

Szli tak może z godzinę, nie spostrzegając nigdzie żywego ducha. Thompson zniknął jakby się nagle zapadł pod ziemię, albo sam przemienił w ciemność.

— Zaciekawia mnie ogromnie, kto mógł wołać w tym lochu, kiedyśmy nasłuchiwali przez zamkniętą podłogę? — powiedział w pewnej chwili René.

— W każdym razie ktoś żywy — odrzekł na to Burthon.

— Jeżeli to był Thompson, to co się z nim stało?

— Gdybym to wiedział, nie suszyłbym sobie daremnie głowy.

— Oby tylko żył dotąd!

— Chyba nie po to zwabił go do tej pułapki Kiusziu, aby go mordować w podziemiach. Mógł go przecie zastrzelić w chwili jego wejścia do pokoju i sam ulotnić się tak, jak to właśnie zrobił.

Znowu zapadło długie milczenie i aż przykre. Obaj Chińczycy, idąc przodem, zdawali się być mocno skupieni i zaciekawieni odkrywanymi komorami i podziemnymi przejściami i tylko od czasu do czasu wymieniali między sobą spojrzenia, które jednak obu Europejczykom nic nie mówiły, ale które dla nich samych były całkowicie zrozumiałe.

Naraz gdy tak szli wszyscy w milczeniu, poprzedzani smugami światła, rozległ się głos jakiś dziwny, stłumiony, ale donośny i wyraźny. Wszyscy zatrzymali się na miejscu i zaczęli nasłuchiwać. Skąd ten głos wychodził, nikt się zorientować nie mógł. Zdawało się, że wychodzi on z każdej strony w którąkolwiek nie zwrócono by uszu.

— Czy nas diabeł czy smok chiński mami! — warknął Joe. — Gdziekolwiek nadstawi z ucha, zewsząd płyną te dzikie dźwięki.

— Ale co to być może?

— Diabli wiedzą! To jakieś czarodziejskie sztuki japońskie.



Fot. Maria Kamrajówna — Poznań.

Zaułek

Wczesną godziną, utartym trybem
Budzi się życie w cichym zaułku.
Blady świt puka w matowe szyby
I sygnaturka dzwoni w kościółku.

Jak ranne ptaki snują się ludzie
Za pracą, która ich dzień zaczyna.
Dudniąc, przejeżdża jakby po grudzie
Wózek z towarem pana Marcina.

Z wnęki narożnej, starej kamienicy
Ktoś spieszy co dzień na kupno do miasta.
I ruch się wzmaga na cichej ulicy,
I dzień już w troski powszednie urasta.

Czasem wesoło rozdzwonią się głosy,
Ktoś czasem cicho w kącie się rozpłacze...
Tak układają się człowieka losy —
Pracą brzemienne, a często tułacze..

Zofia Borucka.



Członkowie Rządu R. P., przedstawiciele państw obcych i izb parlamentarnych w czasie nabożeństwa w katedrze św. Jana w dniu 3 maja.

— Pst!

Li-Liang zgasił natychmiast swoją latarkę, a inni poszli za jego przykładem. Do ich uszu dobiegł teraz bardzo wyraźnie odgłos jakichś kroków. Donośny głos, który wychodził przed chwilą nie wiedzieć skąd, zamilkł teraz i tylko odgłos czyichś kroków zdradzał obecność ludzi w tych podziemiach.

Su-Feng przylgnął do jednej ze ścian i Burthon widział, stojąc prawie tuż przy nim, że spod kapoty wyciągnął jakiś przedmiot. Potem usłyszał dźwięk metaliczny i domyślił się, że agent przygotowuje broń do strzału. W identyczny sposób postąpił Li-Liang, który następnie szepnął:

— Wszyscy na ziemię!

Rozkaz ten wykonano błyskawicznie, gdyż kroki zbliżających się ludzi zdawały się rozlegać w bezpośredniej odległości. Wyczekano jeszcze kilka chwil, poczem obaj Chińczycy równocześnie rzucili dwa snopy światła przed siebie.

W blasku elektrycznych latarek ukazały się jakieś postacie ludzkie, w których pierwsi Chińczycy rozpoznali żołnierzy mikada.

— Su-Feng, czy widzisz kto nadchodzi? — szepnął doktór Wang.

— O, tak, panie.

— Rozumiesz, co to znaczy?

— O, tak, panie.

— Czy pozwolimy im przejść?

— Lepiej położyć tutaj głowy i w ten sposób chociażby zaprotestować przeciwko najazdowi.

Na dalszą wymianę słów nie było już czasu. I Japończycy dostrzegli na swej drodze przeszkodę. Padł pierwszy strzał, nie wiadomo przez kogo oddany, ale strzał ten naruszył ogólną ciszę i spokój. Doktór Wang i Su-Feng puścili w ruch swoje karabinki Thompsona. Podziemie wypełniły się hukami podobnymi do grzmotów i dymami. Strzały rozbrzmiewały ustawicznie, ale jak dotąd po stronie obrońców wszyscy byli przy zdrowiu, nikt nie został ranny.

— Mister Morton, proszę wycofać się do wyjścia i dać znać naszym ludziom — rozkazał Wang. — Tylko prędko, prędko!

Morton nie dał sobie dwa razy tego powtarzać. Odwrócił się szybko i zaczął pełzać w kierunku odwrotnym. A gdy znalazł się już w przyzwoitej odległości, gdzie już pewnie gwiżdżące dokoła kule japońskie nie mogły go dosięgnąć, zerwał się szybko na równe nogi i pomgnął jak jeleń ku wyjściu.

Dopadł otworu i zaczął krzyczeć w górę, pragnąc zwabić swoim głosem ludzi, którzy znajdowali się na wierzchołku. Nareszcie pokazała się czyjaś głowa.

— Halo, chodia, prędko — prędko wyciągnąć mnie na wierzch! — zawołał na ten widok Morton.

Chińczycy na górze spuścili pospiesznie linę i wyciągnęli na niej korespondenta.

— Co się stało, chodia? — spytał jeden z nich.

— Japończycy znajdują się w podziemiach. Biegnij prędko do ludzi otaczających ten dom i sprowadź ich tu wszystkich. Zawiadomij również wojsko. Ale prędko — prędko, bo nie ma chwili do stracenia. Doktór Wang i Su-Feng walczą tam w podziemiach.

Chińczyk w lot zrozumiał o co chodzi. Aby sobie uprościć całe zadanie, nie pobiegł na dół, ale tylko do okna, wychodzącego z korytarza na ulicę i krzyknął kilka słów na dół do ludzi, którzy tam czatowali. Niebawem cały bar pod „Trzema liliami" zmienił zupełnie wygląd. Część policjantów Wanga otoczyła wszystkie wejścia i nie wypuszczała nikogo, część zaś pobiegła na górę i niebawem znalazła się w pokoju, gdzie był Morton.

— Panowie, ani chwili do stracenia nie mamy! — zawołał korespondent do nadbiegających. — Wszyscy na dół, wszyscy na dół. Tam jest doktór Wang!

Chińczycy zaczęli opuszczać się po jedynej linie, jaka zwisała w otworze, śpiesząc na pomoc osaczonym w podziemiach. Na samym końcu opuścił się do podziemi Morton, nie chcąc stracić tak wspaniałej okazji zobaczenia wojny podziemnej. Cóż za sensacja dla jego gazety!

Doktór Wang, Su-Feng i Burthon trzymali się dzielnie, ale nie mogli wytrzymać naporu licznego zapewne przeciwnika. Walka toczyła się w absolutnych ciemnościach, na ślepo. Nie wiadomo było, czy skutek strzałów tak niespodziewanych trzech ludzi, zagradzających dostęp do miasta licznemu przeciwnikowi był właściwy lub nie. Ale musiał on być dobry, gdyż nieprzyjaciel następował bardzo powoli i ostrożnie. Od czasu do czasu tylko błyskały światła elektryczne na krótki moment, po nich następował moment ciszy i znowu strzelanina się wzmagała.

— Jak się rzeczy przedstawiają, doktorze? — spytał René, znalazłszy się w pobliżu chińskiego gubernatora?

— Niedobrze. Musimy się wycofać. Jestem ranny — odpowiedział Wang. — I Su-Feng jest także ranny.

— Joe, żyjesz pan jeszcze?

— Trzymam się — odpowiedział dość głośno Anglik i po tych słowach w ręku jego zagdakał doskonały Scott siedmiostrzałowy, a z otworu lufy błysnęło siedem szybko następujących po sobie niebieskich ogników.

Z chwilą przybycia pomocy, doktór Wang, Su-Feng i Morton wycofali się do tyłu, dając przed sobą miejsce ludziom świeżym.

— Trzymać się tak długo, dokąd nie nadejdzie pomoc wojskowa! — zawołał Wang. — Ja udaję się natychmiast do generała.

— Czy my mamy tutaj zostać, doktorze? — spytał Morton.

— Nie. Po co?

— Halo, Morton, jesteś pan zdrów? — zawołał dziennikarz na Anglika.

— Niezupełnie, jakaś przeklęta kula osmaliła mi policzek i teraz piecze mnie, jak siedem tysięcy chińskich smoków.

— Chodź pan, cofamy się.

Doktór Wang miał strzaskane ramię lewe, Su-Feng zaś tylko zdartą kulą skórę z obojczyka. Mimo to z wielkim trudem udało się zarówno jego, jak i lekko rannego Burthona wywindować na górę. Wang okazał się w tej krytycznej chwili tak twardym i odpornym, że nawet nie pozwolił sobie zabandażować rany, ale natychmiast pojechał do generała. Su-Feng i Burthon usiedli na podłodze i dwóch Chińczyków zajęło się na miejscu bandażowaniem ich ran. A w podziemiach wrzała walka i wynik jej był tak samo niewiadomy, jak rezultat całej wojny chińsko-japońskiej.

— A to ci przygoda, mister Joe, co? — powiedział w pewnej chwili Morton, nasłuchując przez otwór i pragnąc wysondować, jak się układa sytuacja w podziemiach.

— Niech ją diabli porwią! — wypluł przekleństwo Anglik. — Nie trzeba było dowierzać temu przeklętemu Kiusziu. Nie tylko niczego nie dowiedzieliśmy się o pannie Berthier, ale w dodatku straciliśmy jeszcze Thompsona. Tfuj, do czarta, nigdy sobie nie daruję takiej gaffy.

— Co się mogło z Fryderykiem stać?

— Jeżeli znalazł się między strzałami Wanga i Japończykami, niezawodnie zginął.

— Czyż po to Kiusziu by go uprowadzał?

— Diabli go wiedzą. Ale to pewne, że zależało mu bardzo na usunięciu tego człowieka. I dokonał swego.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

MARIA HEMPEL-GIERDAWA

7)

Wariatka

— Wymawiam sobie w mojej obecności zatapianie się w miłe wspomnienia, które zawdzięczasz innym kobietom... To nieładnie w stosunku do mnie i niedelikatnie...

W tym co mówiła nie było wymówki. Był jedynie żartobliwy pogodny ton.

A przecie serce miała ściśnięte i wyraźne uczucie przykrości dławiło w gardle. Poprzedniego wieczora długo nie mogła zasnąć. Specjalnie, choć bez określonego powodu, ciążyła jej samotność, specjalnie pełną tęsknoty myślą błąkała się po całym mieście, szukając Romana; odgadywała gdzie jest i co robi. Był jej tak bardzo potrzebny i jednocześnie więcej niż kiedykolwiek wydawał się jej daleki i nieuchwytny. — Teraz boleśnie uprzytomniła sobie, że właśnie w tym samym czasie — on bawił się znakomicie. Wiedziała jakimi oczami patrzał w oczy kobietom, jak im zawracał głowy, otoczony jak zawsze; wiedziała co czuł i co przeżywał (znała go już tak dobrze!) — nie wiadomo jak skończyła się ta zabawa... wszystko możliwe... może jakaś przygoda... a może — „osoba trzecia"...

Na to, żeby pomyśleć o niej, o Idzie, na pewno nie było czasu.

W tej chwili rada była, że Roman leży z zamkniętymi oczami: czuła, że wyrazem twarzy zdradziłaby swoje myśli. A tego nie chciała. Odruchowo, na skutek podświadomej reakcji, cofnęła rękę, którą głaskała jego włosy.

W tej samej chwili on się odezwał:

— Przepraszam cię, malutka, że przychodzę do ciebie w takim stanie bezsiły fizycznej... Bardzo przepraszam, że jestem taki do niczego... — mówił wolno.

A Iga pomyślała: „jak to dobrze... W przeciwnym razie mogłabym być bezpośrednio po „osobie trzeciej", lub innej... To byłoby okropne... Błogosławię tę bezsiłę."

I było jej bezmiernie ciężko, smutno, obco. Poczuła się w tym wszystkim jakimś piątym kołem u wozu.

A on tymczasem ciągnął dalej:

— Bardzo przepraszam... Ale mnie jest tutaj tak dobrze... tak dobrze, jak nigdzie... Dlatego przyszedłem... Sumienie mi mówi, że to egoistycznie... Ale tak dobrze... Tak bardzo lubię tutaj być...

Iga już zapomniała o swoim bólu.

— Romiś... — wyszeptała czule, pochylając się nad jego twarzą. On objął ją ramieniem. — Romiś, to najważniejsze, że ci jest tutaj dobrze. Tak lubię wiedzieć i słyszeć to, że jestem ci troszeczkę potrzebna w życiu...

— Och, troszeczkę! — pochwycił takim tonem, jakby chciał powiedzieć: „nie troszeczkę ale bardzo, bardzo". — I potem: — Ale sumienie mówi swoje.

— Sumienie! Sumienie nic ci o tym nie powinno mówić złego.

— Chcesz zrobić ze mnie jeszcze większego egoistę niż jestem.

— Poczucie, że jestem ci potrzebna jest tak cenne, że równoważy wszystkie cienie, jakie idą do mnie od ciebie...

Podniósł powieki i spojrzał swoim najmilszym, najlepszym wzrokiem i prośba o przebaczenie, i poczucie winy, i te wyrzuty sumienia, i serdeczność niezmierna, i czułość, i wdzięczność.

Iga mowę tych niebieskich kochanych oczu przekładała nad wszystkie najbardziej wyszukane słowa.

I teraz rozsłoneczniły jej one duszę gorącymi promieniami radości. Była szczęśliwa i czuła, że człowieka tego kocha ponad wszystko i wbrew wszystkiemu, wbrew nawet sobie samej. I czuła potrzebę wypowiedzenia tego gwałtownego przypływu uczucia, które rozpierało jej serce niemal fizycznie. Ale wyszeptała tylko jedno słowo: „Romiś..." i nie była zdolna powiedzieć nic więcej: zbyt dużo czuła. Przytuliła tylko twarz do jego policzka.

— Co, malutka? — zapytał cicho.

Nie odpowiedziała nic.

Czy zrozumiał co odczuwała?

Zasnął.

A ona leciutko gładziła jego włosy i była szczęśliwa, że jest przy niej, że tu przyszedł po spokój i wypoczynek. Było w tym coś z uczucia macierzyńskiego. I nie była w tej chwili zazdrosna o żadną na świecie kobietę. Jakże można być zazdrosną, skoro od wszystkich, i od „osoby trzeciej" — tutaj ucieka, bo tutaj „dobrze mu jak nigdzie"?



Typ dziewczyny z Łowickiego

Po godzinie Roman się obudził. Spojrzał na Igę, uśmiechnął się, pocałował w dłoń i zapytał:

— Powiedz mi: czy ty od nikogo na świecie niczego dla siebie nie wymagasz, a tylko zawsze dajesz?

— Od nikogo.

— To nadzwyczajne!

— To nie jest nic nadzwyczajnego. Takie samo, nawet egoistyczne wyrachowanie, jak każde inne! Mnie jest z tym dobrze. Nie mam rozczarowań, a mam dużo zadowolenia.

— To śmiesznie nazywać takie altruistyczne, jak twoje ustosunkowanie się do wszystkich — egoistycznym. To brzmi jak paradoks.

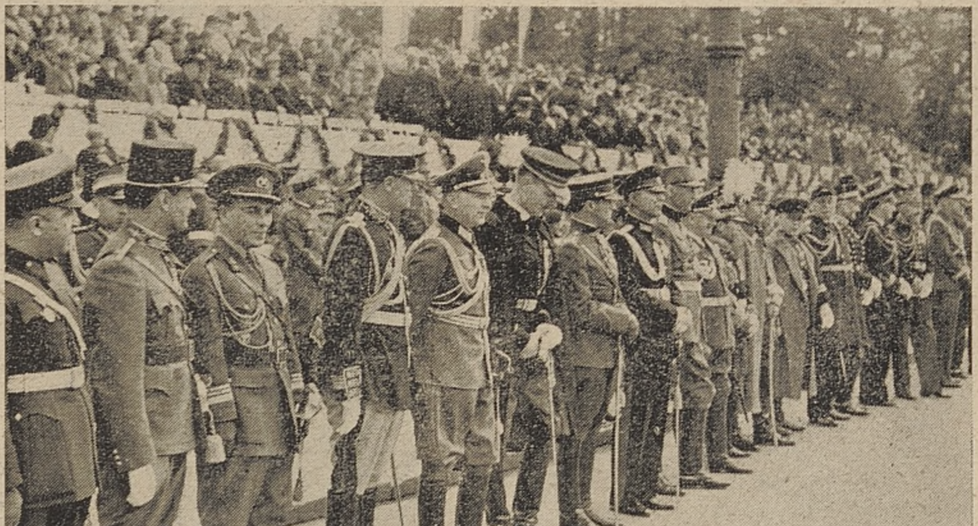
— A czy paradoksy nie mówią czasem prawdy? Zresztą powiem ci więcej: nie wiem, czy mój tak zwany przez ciebie „altruizm" nie jest wynikiem dumy. Jestem zbyt dumna, aby żądać i wymagać. Nie chcę się narazić na — odmowę. A dawać innym ze siebie wszystko co dać można, widzieć, że się komuś, choćby przez wywołanie uśmiechu — rozjaśniło trochę życie — jest tak wielką przyjemnością, że nie potrafię sobie jej odmówić. Robię sobie przyjemność — świadomie. Widzisz więc — że jestem egoistką!

— Tak, to jest swego rodzaju filozofia. Szkoda, że tak mało ludzi ją posiada, a ja — powiem szczerze — do nich nie należę, chociaż powinienem jako katolik... Masz jednak i ciernie w życiu. Co z nimi zrobisz? Przecie są, przecie bolą. Ja sam tyle ci ich dostarczam...

— Równoważą się takimi właśnie słowami: „Dziękuję ci, jest mi dobrze."

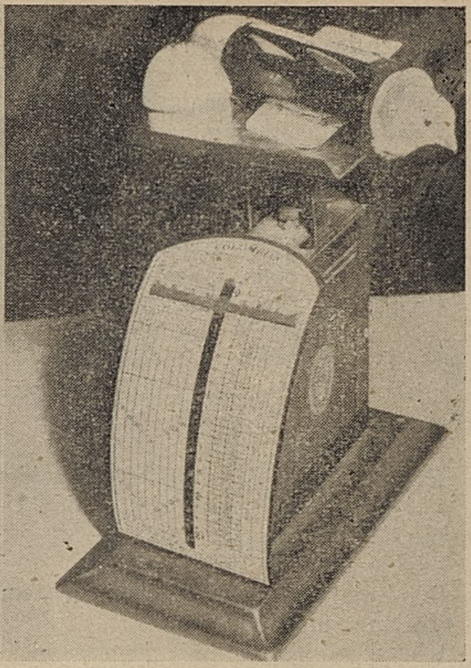
Roman przytulił Igę do serca mocno, gorąco i wyszedł zamyślony.

W tym czasie właśnie udało się Idze, po długich i uciążliwych staraniach, po „zamęczaniu" różnych mniej lub więcej wpływowych znajomych, po chodzeniu, pukaniu, kołataniu — udało się znaleźć dobrze płatne miejsce woźnego dla bezrobotnego z sutereny.



Attachés wojskowi, akredytowani przy rządzie polskim z podziwem obserwowali wspaniałą defiladę naszej siły zbrojnej





Gołąb w roli samolotu pasażerskiego. W Ameryce przesłano kanarka na grzbiecie gołębia pocztowego. Po prawej sprawdzanie wagi przewożonego kanarka

Nie tracąc ani chwili udała się pod dobrze znany adres (chodziła tam dość często, opiekując się biedakami) i zaniosła tę naprawdę radosną nowinę.

Nie wiadomo, kto bardziej się cieszył z tego pomyślnego obrotu sprawy: ona czy oni.

Gdy jej dziękowali szczerze i serdecznie, pomyślała: „Właściwie nie należą mi się te podziękowania w myśl mojej filozofii, bo przecie sama sobie zrobiłam przyjemność."

A gdy wyrażali wdzięczność i mówili o chęci odpłacenia się jej za pomoc jaką im okazała, powiedziała po prostu:

— To bardzo ładnie, że myślicie o odwdzięczeniu się. Ale najlepiej zrobicie, jeżeli w zakresie waszych możliwości, komuś innymu, potrzebującymu, okażecie jakąś pomoc. Nie ma takiej biedy, którą większej biedzie nie mogłaby pomóc. Bardzo bym się cieszyła, gdyby i was ktoś nazwał kiedyś „wariatami" — roześmiała się wesoło i miło.

Oni roześmieli się także. Już od dawna wiedzieli, że Iga nie ma do nich urazy na tę nazwę.

* *
*

Zdarzyło się czasami, że Roman nie odzywał się wcale przez dziesięć dni, dwa tygodnie. Iga nie telefonowała do niego, nie dopytywała co się stało. Bo przychodziło jej na myśl, że może znowu, z tych czy innych powodów, postanowił widywać się rzadziej i stosunki przenieść wyłącznie na grunt przyjacielsko-towarzyski. Musiała właściwie zawsze być na to przygotowana, nigdy nie mogła być pewna czy Roman był u niej ostatni raz — czy nie ostatni. Sam powiedział, że nie jest logiczny, gdy chodzi o kobietę.

Ale Iga nie przestawała być konsekwentna. Raz wtedy powiedziała mu: będzie tak jak ty chcesz — i od tego odstąpić nie było jej wolno. W dłuższych więc przerwach odwiedzin Romana nie czyniła nic, aby przywołać go lub zatrzymać.

I kiedy osiągała już w sobie samej nastawienie „na przyjaźń" — ni stąd ni zowąd któregoś popołudnia Roman wpadał, jak gdyby nigdy nic. „Przyszedłeś?" — „Jak mogłaś przypuszczać, że nie przyjdę?" — dziwił się szczerze. Spragniony jej pieszczot i pocałunków zapominał w jej ramionach o całym świecie, dziękował za „najmilszą, za najlepszą chwilę" — i odchodził równie spiesznie jak przyszedł.

Iga zostawała oszołomiona, wytrącona ze zdobytej z trudem równowagi wewnętrznej — i z poczuciem przykrego braku.

— Tyle mu miałam do powiedzenia... — myślała z żalem. — Ani trochę nie czuję się mniej sama, mniej pozostawiona samej sobie, zapomniana. Nie jestem w jego życiu, jestem obok jego życia... Ale skoro mu z tym dobrze...

I znowu zaczynało się czekanie, ewentualnie urabianie w sobie spokojnego „przyjacielskiego" nastawienia.

Ale wynikająca stąd szarpanina nerwowa nie zmieniała w niczym pogodnego i życzliwego stosunku Igi do jej otoczenia i ludzi w ogóle. Wiedziała, że przecie oni wszyscy w niczym tu nie są winni.

Czy zresztą sam Roman jest winien, że ma tak skrajnie egoistyczne usposobienie?...

Gdy kiedyś nie była w banku przez dwa dni z powodu silnego kataru (a było to już pod koniec drugiego roku znajomości z Romanem) — witano ją po powrocie z serdecznością i radością, bo: „jak pani nie ma, to tutaj jest jak w grobie, pani ma w sobie coś takiego, że wystarczy sama jej obecność, nawet przy zupełnym zaabsorbowaniu pracą, aby ta codzienna harówka wydała się mniej szara i ciężka. Człowiek zdaje sobie sprawę z tego dopiero kiedy pani zachoruje i nie przychodzi. Proszę tego więcej nie robić" — mówił jeden z kolegów Igi.

Ona uśmiechnęła się:

— Dobrze jest zachorować, żeby potem takie miłe rzeczy słyszeć. Za taką cenę warto mieć nos bolący i zaczerwieniony.

— Dobrze jednak, że pani przeziębienie nie zaciągnęło się na jakąś dłuższą chorobę — wtrącił się do rozmowy tak zwany przez wszystkich w banku „Henryś", wysoki, szczupły blondyn o miłej powierzchowności. — W sobotę, to znaczy pojutrze, mamy wspaniałą kolację w knajpie z powodu awansu Mrokowskiego na szefa wydziału. Cały nasz wydział jest przez niego zaproszony i właśnie martwiliśmy się, jak to będzie bez pani!

— Bardzo się cieszę z tego projektu. Jestem pewna, że zabawimy się miło i wesoło.

Ale nie miała ochoty na tę zabawę. Romana nie widziała od dwóch tygodni. Telefonował tylko dwa czy trzy razy. Mówił, że ma „urwanie głowy", masę roboty, cudze interesy itd. Miał wprawdzie przyjść w sobotę wieczór, ale, niestety, musi po południu wyjechać i wróci dopiero w poniedziałek rano.

Więc Iga nie miała ochoty na zabawę. Byłaby wolała zostać w domu i móc robić to, co najbardziej lubiła: położyć się i czytać.

Na godzinę 9-tą mieli się wszyscy zebrać w umówionym dancingu. „Henryś" prosił Igę o pozwolenie wstąpienia po nią, ponieważ mieszkał w jej stronach. Zgodziła się na to chętnie, nie lubiła bowiem wchodzić sama do jakiegokolwiek lokalu publicznego.

Punktualnie dziesięć minut przed dziewiątą zjawił się w jej mieszkaniu. Iga była już gotowa, włożyła tylko kapelusz i palto i wyszli. Wsiedli do otwartej taksówki. Przejeżdżając przez skrzyżowanie dwóch ruchliwych ulic, Iga ujrzała raptem stojącego na jednym rogu Romana z jakąś panią (nie „osobą trzecią"). Trzymał ją czule pod rękę i coś opowiadał z ożywieniem.

Idze zrobiło się niezmiernie przykro.

— Dlaczego mi skłamał? — pomyślała z bólem. — Mógł powiedzieć! nie mam czasu. Nie pytała nigdy co i dlaczego. Przecie sam wie, że jej nie potrzebuje kłamać. Czy zrobiła mu kiedykolwiek najmniejszą wymówkę? Czy krępowała go w czymkolwiek?

I na tym polegało poczucie krzywdy.

Zajechali przed dancing.

Weszła między ludzi, znalazła się wśród koleżanek i kolegów, więc odruchowo, z przyzwyczajenia schowała poczucie krzyw-

(Ciąg dalszy na str. 413)



Tegoroczne modele sukien przypominają do złudzenia stroje naszych babek

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

MOJE PIEŚNI

Przynoszę wam moje pieśni,
Wraz z sercem moim przynoszę,
Ja — com już szczęście swe prześnił,
Marzenie słodkich rozkoszy.

Marzenie prysło ode mnie,
A przecie ja bajkę chciałem,
Co by wraz ze mną żyła i we mnie,
A dziś — cóż z tego zostało?

Została szarość dni moich
I smutek się rozwiał tęczą — —
Niezdecydowany stoję
Nad życia mego poręczą.

Czy wrócić w przeszłość wspomnieniem,
Czy zacząć mi nowe życie,
Czy stać się człowieka cieniem,
Żyjąc wśród ludzi skrycie?

Czy ludziom śpiewać w swych pieśniach
O bólu moim, niedoli,
Aby powiedzieć: „o nie śnij,
Bo gdy się ockniesz, zaboli"...?

Bo gdy się ockniesz, zaboli
Szarość, codzienność, cierpienia,
Nie trwaj więc w marzeń niewoli,
Lecz żyj na trzeźwo... Po co marzenia?

Tadeusz Multański.

DOBRE RADY PANI ZOFII

WIELE SERDECZNOŚCI

„Wenus". Nie, Droga Moja, nie będzie zjazdu „Krainiaków". Co zaś do Twoich spostrzeżeń na temat „Rodzinki", to rzeczywiście niektóre są słuszne, ale usunąć te niedociągnięcia jest trudno i ja bezskutecznie staram się je zniwelować choćby tylko.

Co u Ciebie nowego, jak się czujesz pod tę wiosenną czasy?

Posyłam Ci wiele serdeczności i czekam na nowy znak!

Do „Krainiaków"!

Prosiłabym tych „Krainiaków", którzy obchodzili paroletnią przynależność do „Krainki", aby częściej odzywali się w „Krainie". Dalej tych, którzy na listy nie odpowiadają, by w przyszłości tego unikali, gdyż świadczy to o braku wychowania. Szczere uznanie tym, którzy piszą śliczne wiersze.

Wszystkim z „Krainy" wagon pozdrowień.

„Młody Orzeł". Może napiszesz? Za pozdrowienie dziękuję, adres: Poste restante, Puszczykowo, pow. Poznań dla nr. 1913.

„Rozbójnik". Uścisk dłoni, Konradzie, za wiersz „Ukochana" — nie myślałam, że tak dobrze napiszesz.

GROŹNA KARA

„Smutna i brzydka Irka". Wprawdzie listu Twego, Iruś, nie wyciągnęłam ze stosu, aby szybciej odpowiedzieć, lecz i bez tego stosunkowo szybko nadeszła jego kolejka.

Więc skoro „Krainianki" nie napiszą, szybko po słów kilka choćby do Ciebie, wyślesz je na księżyc? Dalibóg groźna to kara!

Miałam przyjechać do Ciebie na wielkanocną szynkę z „mazgajem"? Ho, ho!!!!

Listy przesłałam, Ciebie ściskam, a komunikaty zamieszczam:

„Tyran". Wiesz Pan co... — wątpię. Skorzystałam z twej recepty i jakimś cudem... przytyłam 2 kilo... Czekam dalszych wskazówek...

„Śląskie Serce". Może Pan napisze do mnie?

„Zaza". Ty „krokodylu" — całuję!

„Aneczka". Zawsze myślę o Tobie i zastanawiam się dlaczego nie piszesz...

„Czarnulka znad Noteci". Prosisz o receptę... masz ją... Kochaj się... a schudniesz. Na razie pozwól, że ci walnę siarczystego (obertasa... aj) całusa. Dziękuję za pozdrowienia. Napisz.

Całą „Krainkę" pozdrawiam... i Wiara czemu nie piszecie...?

„Hr. Ulsen" pozdrawiam.

„Złośnica". Czy... czy pseudonim zgadza sie z prawdą? O ile tak... to tylko... pozdrawiam i całuję".

ZGODA!

„Długas". Zgoda — niech będzie ten pseudonim! Więc przyjmuję Pana jak najserdeczniej do naszego grona i życzę powodzenia.

Sprawę prenumeraty proszę załatwić bezpośrednio w administracji naszego pisma.

Myślę, Miły Chłopcze, że nie będę musiała zachęcać „Rodzinki" do okazywania Ci sympatii, gdyż sama Cię nią obdarzy, ujęta Twoim rozbrajającym pseudonimem? Pozdrowienia ślę Ci, uśmiechnięte i przechodzę do komunikatów:

„Halo! „Wesoła". Jesteśmy w jednym zawodzie. Czy lubi Pani matematykę? Może nawiążemy korespondencję? Życzę Pani powodzenia w nauce i ślę moc pozdrowień!

„Amneris". Czy Pani jest również sztubaczką. Podoba mi się bardzo Pani pseudonim. Może napisze Pani. Proszę przyjąć silny uścisk dłoni.

Kto chce mieć żel-betonową odpowiedź, niech do mnie napisze. Adres u Pani Zofii.

Całej „Krainie" posyłam moc pozdrowień".

* * *

Drogiej „Pani Zofii" na dzień Jej Imienin.

Niechaj Ci życie nie szczędzi pogody,
Oddała zawsze wszelkich smutków cienie
Za to, że nigdy nie chciałaś nagrody
I w serce swoje wzięłaś poświęcenie.

I niosłaś drugim... ofiarne... gorące...
Dawałaś zawsze tak wiele ze siebie!
Ty, co tak bardzo ukochałaś słońce!
Niech nie zachodzi ono na Tym niebie!

Myślę jak zawsze o Tobie, kochana —
W dniu Twego święta odsłaniam te karty,
Bo w duszy mojej na zamilkłych strunach
Zbudziłaś promień słońca niezatarty!

„To - ja".

RADOSNA NOWINA

„Czarnulka ze Świecia". Cieszy mnie, że przypomniałaś sobie o obowiązku wysłania mi kilku słów. Wielka to doprawdy nowina i radosna dla mnie — oby to szybko nastąpiło!

Łączę serdeczności i przechodzę do komunikatów:

„Halo — Krainiacy z Lubawy wzgl. Nowegomiasta. Czy nie zechciałby do mnie ktoś napisać? Spędzę w tej okolicy prawdopodobnie urlop, więc moglibyśmy się zapoznać.

„Stary Wojak" — przyjmij moc pozdrowień. Dla Siostrzyczki Lusi dużo radosnych uśmiechów od imienniczki. Byłoby mi bardzo miło, gdybym mogła otrzymać liścik.



„Promyk" (Stach) i **„Błędny Ognik"** (Janusz) przesyłają pozdrowienia „Krainie".

„Niesforna Lulu" — szalenie mi się podobasz, przyjmij buziaka.

„Smutna Czarnula". Wagon uśmiechów — zapomnij o wszelkich smutkach. Jestem podobno wesołą, więc może zechcesz napisać?

„Błędny Ognik". Zaintrygował mnie Pan. Ktoś Ty? Milusie pa!

„Czarnulko z Grudziądza" — przyjmij pozdrowienia.

Czy ktoś z „Krainiaków" nie zna przypadkiem p. Władysława Kuczmy z Czyczkowa, powiat Chojnice? O ile tak, proszę go milusio pozdrowić od znajomej, dawniej zamieszkałej w Chojnicach.

Wszystkim „Krainiankom" i „Krainiakom" milutkie pozdrowienia".

ZMIENIONY PSEUDONIM

„Płomień na wietrze". Dlaczego to przerwałaś z nami kontakt, a teraz występujesz pod zmienionym pseudonimem? Jesteś jedną z naszych marnotrawnych córek — co?

No nic! Przyjmujemy Cię znowu do swego grona, lecz pod warunkiem, że teraz nie będziesz nas już zaniedbywać. Proszę o tym pamiętać!

Życzę Ci powodzenia w „Krainie" i zamieszczam poniżej komunikaty. Fotografia znalazła się w zbiorze podobizn krainiackich.

„Halo! Mam własny rower, lubię urządzać wycieczki, ale brak mi miłego towarzystwa. Pragnę poznać członków „Rodzinki", mieszkających w Toruniu, Wąbrzeźnie lub z okolic wymienionych miast. Znam dobrze południową część Wielkopolski i Pomorze.

Zapytuję p. Stefana Lew... Poznań — Ławica, co się z nim stało i czy pamięta mnie sprzed dwóch lat? Adres mój ten sam.

Całą „Krainę" pozdrawiam i proszę o pamięć!"

DO WAS, WOŁYNIACY!

„Krainiacy" — Wołyniacy!
Chciałbym poznać wszystkich was.
Gdzie mieszkacie, co robicie?
Jak spędzacie wolny czas?

Ja też mieszkam na Wołyniu,
A kto jeszcze, ilu was?
Pewnie dużo będzie razem,
„Krainiaków" wszystkich nas.

Znam niektórych już z „Krainy",
„Wołyniaka" trochę znam,
Jest to miły Jurek M...
Takie o nim wieści mam.
Coś słyszałem o „Arianie",
Że z „Irusią" też z Wołynia"
Bawią tu gdzieś niedaleko,
Może tam, gdzie Ikwa płynie.

Tej „Szarotce miłej z Łucka"
No i „Zosi Wołyniance" —
Ślę serdeczne pozdrowienia,
A i także „Kresowiance".

Czy daleko od Krzemieńca,
Ta „Przeklęta Iwa" rośnie?
I „Oczęta Szare" z Dubna —
Dziś mam tu na myśli właśnie.

Może jeszcze ktoś się znajdzie,
Wśród wołyńskiej tej „Krainy",
Ktoś nieznany, ale bliski,
Ktoś serdeczny nam w „Rodzinie"!

„Tajemniczy Nieznajomy".

MASZ MOJĄ SYMPATIĘ

„Zosia-Wołynianka". Możesz mi wierzyć, iż czuję się wyróżniona przez to, że mówisz do mnie z takim zaufaniem. I doprawdy ani mi na myśl nie przyszło śmiać się z Ciebie, przeciwnie poczułam dla Ciebie dużo niekłamanej sympatii.

Czy zaprzyjaźniłaś się z kimś z „Rodzinki"? Posyłam Ci dobry uśmiech i zamieszczam Twój komunikat:

„Która z „Krainianek" chciałaby spędzić urlop na Wołyniu? Może Ty „Blanko"? Dom mój cały do Waszej dyspozycji. Spokój zapewniony, 10 metrów od lasu sosnowego, bliziutko do Styru. Piszcie na ręce Pani Zosi. Całą „Krainę" pozdrawiam serdecznie!

„Zosia Wołynianka".

BYŁO KIEDYŚ INACZEJ...

„Róża Leśna". Nie wiesz, do kogo jesteś podobna? Moim zdaniem do Brygidy Helm. To taka jedna artystka filmowa, którą w sposób okrutny prowadziła swoje sławne auto. Nie znasz jej? Też nic nie straciłaś. Dolna partia Twej twarzy do złudzenia przypomina twarz tej artystki.

Radość sprawiają mi Twoje wynurzenia na mój temat, bo był czas, kiedy nie lubiłaś mnie zbytnio. Prawda, że tak było?

Zapomnij o tej osobie — dowiedziałaś się już zapewne z „Krainy" o ważnych zmianach w jej życiu.

Jeszcze nie znasz prawdy o mnie? No, no! Całuję Cię i przechodzę do komunikatów:

„Chochliku" — dziękuję za pozdrowienia, napisz pierwsza.

„Samotny S." Kartą sprawiłeś miłą niespodziankę, może skrobniesz obszerniej.

Wszystkim „Kraniankom" i „Krainiakom" moc pozdrowień".

WSPOMNIJ

„Słodka Dary". Ejże, widzę, że masz szczęście, skoro wygrywasz na loterii. Wierz dalej w swoją dobrą gwiazdę, a główna wygrana stanie się Twoim udziałem.

Nie, dawno już nie miałam listu od „J. K." Jeżeli odezwie się do Ciebie, to nie omieszkaj wspomnieć, delikatnie o obowiązku podtrzymywania kontaktu z „Krainą".

Posyłam Ci radosny uśmiech i przedrukowywuję komunikaty:

„Blanka". Bardzo przepraszam, mam wyrzuty sumienia, teraz nie mam odwagi — zasyłam siostrzany pocałunek.

„Merle". Niedługo, a „wylądujе", będzie znowu „ram — paj — dana", jak ostatnio. Dla Ziuty i Staszka moc całusów.

„Salver". Pytasz się, czy buzia taka sama — osądzisz, gdy zobaczysz mnie na łamach „Krainy". Całuję.

„Słoneczna Jasieńka". Pozdrowienie w pełni odwzajemniam.

„Sztubak spod lasu". Starczy, że Cię znam — prawda? A jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to proszę napisz. Pozdrawiam. Czuwaj!

„Rozbójnik". Mam pietra, czemu — pseudo — ej tam, do odważnych świat należy. Pytasz się, czy pseudo zgadza się z rzeczywistością, a jakże by mogło być inaczej? Ślę miłe pa i proszę skrobnąć!

„Pellu!" Nie było możliwym dać odpowiedzi. Byłam niedawno w G.......u ul. Piłsudskiego, i to tylko na kila godzin — w przejeździe „Bukiekiem". Na przyszły raz zadzwonię, ale proszę podać nr. telefonu. Pozdrawiam.

„Tu - Aldek". Pozdrowienia odwzajemniam. Proszę wybaczyć uczyniony zawód, ale przy najszczersze chęci nie mogłam, a teraz będzie nieaktualna.

„Samotny G." Zainteresowałam się Pana osóbką, proszę skrobnąć. Pozdrawiam.

„Dla całego Zespołu Krainiackiego z Ciotunią i Wujaszkiem na czele — radosny uśmiech!"

SERCEM JĄ POWITAMY!

„Uśmiech Szatana". Dziecino, sercem otwartym i szczerym powitamy przyjaciółkę Twoją, w której imieniu apelujesz poniżej. Niech jak najszybciej napisze do nas, bo przyjętą do „Rodzinki" zostaje w tej oto chwili.

Całuję Cię i zamieszczam ów apel:

„Kraino droga! Zwracam się z serdeczną prośbą, byś przyjęła w swoje grono „Duszę w kajdanach", którą Ci przedstawiłam już raz w „Szczęściu pod pseudonimem". Niech fantazja moja ożyje i niech naprawdę dla tej osoby „Kraina" stanie się najmilszym rodzinnym domem. Rzućcie Kochani w pustkę życia tej nowej „Siostrzyczki" jasny promyk przyjaźni! „Dusza w kajdanach" jest nauczycielką na wsi, do której i sam diabeł drogi nie odnajdzie. Wasze listy kochane „Krainianki" i „Krainiacy" będą witane z radością. Następny list napisze ona sama i przedstawi się Wam, a ja (w tajemnicy) prześlę zdjęcie, abyście poznali tę nową sympatyczkę, która Was bardzo kocha. Wszystkich serdecznie pozdrawia „Uśmiech Szatana".

KOMUNIKATY „JADWIGI LIMBY"

„Złota Jutrzenka"! Pozdrowienie odwzajemniam.

„Niesforna Lulu", „Mimoza", „Czarny Hajduczek", „Przeklęta Iwa" — dziękuję Wam — Drogie Moje — za uznanie pod adresem moich poetyckich płodów...

Milutka „Smutna Mariolo"! Dziękuję Ci za słodki — „dziękczynny" uścisk! Odpisałabym najchętniej ale nie podałaś adresu... Popraw się kochanie! Całuję Twoje ślepki i wołam raz jeszcze: Nie bądź „Smutną", ale ciesz się wiosną i młodością!

„Uśmiech szatana" — dzięki za dobre słowa!

„Smutna Ślązaczka". Pisze Pani do mnie: „podziwiam Pani optymistyczne nastawienie do życia" — Hm... to nastawienie było do niedawna raczej skrajnie pesymistyczne, ale teraz dzięki „Krainie", dzięki wiośnie — ten brzydal pesymizm znikł, bezpowrotnie. Ja również, Droga „Smutno Ślązaczko", przeżyłam dużo cierpień moralnych i fizycznych, naborykałam się z życiem, napiłam goryczy dosyć. A jednak dźwignęłam się z tego jakoś... I dziś — niech mi Pani wierzy — zaczynam rozumieć znów radość życia i jego wartość! Pozdrawiam P. najmilej.

„Altruista" — dziękuję za zaliczenie moich wierszy do „pięknych"... Gdyby P. zechciał napisać, odpiszę..

Wszystkim „Smutnym" życzę dużo wesela i zadowolenia z życia.

LIMBA

Krajnie szczerości — poświęcam.

Limbą zieloną na „Groniu" rosnę —
i jestem sama wśród siostrzyc sosen...
I jestem sama wśród braci smreków —
błądzę myślami kędyś daleko...
O! — jestem inna niż wszystkie drzewa...
chciałabym Ciebie lesie opiewać...
Na mojej duszy najczulszą kliszę
chwytać Twój urok, zapach i ciszę.
Chciałabym skąpać w słonecznym złocie
nawet mchy nikłe, nawet paprocie...
Na wszystkie gęstwy — ciemne gęstwiny,
chciałabym szumieć dobre nowiny!
Zrozumieć gadki starych modrzewi —
jak było dawniej — jak było „drzewiej"!
Chciałabym poznać was, drzewa młode!
Tęskonty brzózek i dumki jodeł...
O! — jestem inna od wszystkich sosen —
w zielonych igłach natchnienie noszę...
Drwią sobie ze mnie zielone buczki,
a stare drzewa dają nauczki...
Wciąż na mnie „wadzi" sąsiadka sosna:
„ta biedna Limba zgłupiała do cna...
zamiat kraść życiu radosne błyski,
to ona roni bezpłodne szyszki.
I zamiast z młodzią podskoczyć w taniec,
to ona woli smętne dumanie..."
modrzew-przyjaciel śmieje się lekko:
„Oj — nasza Limba chce być poetką!
Chce nasze dumki po świecie szumieć —
ja ją rozumiem — ja ją rozumiem".
A mała brzózka — ma przyjaciółka —
tak mi baljurzy — wciąż dookółka:
„Oj — nie podołasz Limbo — niebogo —
lepiej idź swoją wieśniaczą drogą".
Wiatr mi połamał — nieraz konary,
lecz — mocnam w sobie — nie tracę wiary!
— — — — — — — —
O, jestem inna niż wszystkie drzewa —
i muszę szumieć i muszę śpiewać...

„Jadwiga Limba".

TO BYŁ CHOCHLIK DRUKARSKI

„Taki - jeden". Chłopcze, co Ty mi piszesz, że za karę mogłam wstrzymać Ci wysyłkę „Moich Powieści"?... Przecież nie miałabym prawa tak uczynić, pomijając już możliwość podobnego wystąpienia z mej strony, choćby nawet przyszła mi ochota ukarania Cię. Ale nie miałam jej wcale. A nawet nie mam i teraz po Twoim trzecim z rzędu liście, który nawiasem mowiąc, zasługuje nieco na burę — nie uważasz?

Och, Chłopcze, w ostatniej mej odpowiedzi chochlik drukarski użył sobie z fenomenalną złośliwością. Gdy to przeczytałam na skutek Twej wzmianki, ogarnęło mnie drżenie.

Wielkie Nieba! Czy Ty skłonny byłeś uwierzyć, że ja zdobyłabym się na taki wyskok?

Owszem powiedziałam „jej", aby wstrzymała się zarówno od wybuchu szalonego śmiechu, jak od łez — bo jedno i drugie szkodzi urodzie. A mimo to śmiała się mocno. Widać w postępowaniu jej często bierze górę beztroska, swawolna młodość.

Chcesz mojej rady? A przecież Ty znasz chyba dobrze moje stanowisko w podobnych sprawach. Czyż koniecznie mam Ci je wyłuszczać tak, „ex cathedra"? Oficjalne orzeczenia są zawsze nieprzyjemne i takie jakieś mrożące!

Podaj mi rękę, mój Łobuziku! Tak! Czy czujesz, jak serdecznie ujęłam ją i uścisnęłam? Dobrzy przyjaciele podają tak sobie dłonie, wiedząc, że mogą ufać, sobie wzajemnie i że żaden tej ufności nie zawiedzie. Pisz!

ZAMIESZCZĘ

„Yoshimura". Owszem, bardzo chętnie zamieszczę zdjęcia z portu i morza, jeżeli mi je nadeślesz i okażą się odpowiednie do reprodukcji.

Zadowolona jestem, że czujesz się dobrze w naszym gronie. Bądź zawsze miły i szczery, a na pewno sympatia nasza dla Ciebie nie zmaleje.

Łączę pozdrowienia i zamieszczam Twoje komunikaty:

„Czarnobrewa". Jakim to smutkiem zostałaś ostatnio dotknięta i co jest tego powodem? Znam Cię tak dobrze i myślę, że nie masz powodów do smutku, a jeżeli Cię coś trapi, zdradź mi swą tajemnicę, może ja na to coś poradzę. Serdecznie Cię pozdrawiam, oraz całuję Jasia, Mirunię i Zosię.

„Safo". Nie podałaś swego właściwego pseudonimu w liście z dnia 4. III. br. O mało nie popełniłem harakiri z rozpaczy, że nie mogłem odpisać na Twój oryginalny list. Oby boska Polihymnia i Kaliope nastroiły Twą duszę, jak wdzięczną harfę, z której popłynęłyby piękne rymy zachwycające całą naszą mitologiczną „Krainę".

„Uśmiech Szatana". Piękne są Twoje wierszyki i kryją w sobie bardzo głębokie myśli, więc i uśmiech Twój daleki jest od uśmiechu szatana. Serdecznie pozdrawiam.

„Mała Mysia". Wybacz moje milczenie, inaczej być nie mogło. Niech tegoroczny maj i kwiaty jabłoni przyniosą Ci więcej szczęścia... Ślę Ci serdeczny uśmiech i pozdrowienia z Gdyni.

„Jagienka spod Lublina". Ja również jestem taki sobie „kmiotek spod Lublina". Pa!

„Stary Wojak". Jaki tam stary?... A co będzie za 10 lat? chyba zgrzybiały. Niechże mnie Pan nie straszy, ja liczę sobie z 10 wiosenek więcej od Pana, a jeszcze się czuję młodzieńcem w pretensjach. Czołem!

„Rozbójnik". Na jakich to drogach uprawiasz swój proceder? Ostrzegam Cię przed „Tajnym detektywem", to chytry lis. Bądź zdrów!

„Blance", „Królowej Gizelli"; „Frasquicie"; „Waldemirze"; „Myszce" oraz wszystkim „Krainiankom i Krainiakom" przesyłam serdeczne pozdrowienia".

NIE PODDAWAĆ SIĘ!

„Frasquita". Prośby Twoje spełniłam. Pewnie, że lepiej przykrościom dzielnie stawiać czoło niż poddawać się im z pokorą i bezradnością. Ty w dodatku jesteś dzielna, więc tym mniej groźne winny Ci być wszelkie zapory, którymi obdarza nas życie.

Posyłam Ci ciepły uścisk dłoni.

Komunikaty:

„Te - Em". Nic nie rozumiem. Chyba list zaginął. A może by Pan pierwszy napisał?

„Młody las". Proszę zdobyć się na odwagę. Pozdrawiam.

„Safo". Za miłe słowa serdeczny dank. Pierwsza jednak nie napiszę. Może Pani? Odpowiem.

„Yoshimura". Wszak to Pan jest T. K.? Gdzież w takim razie odpis na mój list? Może rozczarowanie? Szkoda! Pański zawód jest mi bardzo bliski. Wśród granatu żyję już dużo lat. Ściskam dłonie.

P. Jan Herman z G. Nie odpisałam. Proszę wybaczyć, ale... nie mogę.

„Blanka". Nie mieszkam stale na wsi, lecz w małym miasteczku i gdyby Pani chciała przyjąć moją gościnę, to może dałoby się coś zrobić. Proszę napisać! Serdecznie pozdrawiam!

„Cierniowa do'a". Bardzo Panią kocham! Czekam z niecierpliwością odpisu!

„Motylek". Dziękuję, ale pierwsza nie piszę. Pozdrawiam i czekam!

„Taki - jeden". Mimo wszystko, bardzo proszę o kilka słów. Może Pan nie pożałuje. Pozdrawiam wzajemnie!

„Niesforna Lulu". Niestety — pomyliła się Pani. Nie jestem B. G. Mimo to A. Cz. znam doskonale. Natomiast nie znam wcale „Czarnej

Kropki", ani żadnej ze znajomych pań A. Cz. Mnie również nikt nie zna. Pozdrawiam Cię serdecznie, Droga „Lulu"!

KOMUNIKATY

„Tajemniczy Nieznajomy". Prośbę Twoją spełniłam, a komunikaty zamieszczam poniżej. Łączę pozdrowienia.

„Przeklęta Iwa". Coś niecoś wiem o Pani. Może napiszesz? Czekam!

„Zosia Wołynianka". W jakiej okolicy Wołynia mieszkasz?

„A. S. — Bydgoszcz". Korespondencja nie dałaby nam zadowolenia.

„Halina B." Z pewnych powodów nie mogę teraz Pani odpisać. Proszę być dobrej myśli. Po wyjaśnieniu pewnej sprawy napiszę.

„Biała Brzózka". Czemu milczysz? Pozdrawiam i czekam odpowiedzi.

„Szare oczęta". Czy mieszkasz jeszcze w Dubnie? I czy jest tam kto jeszcze z „Krainy"?

„Wesoła". Piękny masz pseudonim. Przyjmij pozdrowienia i napisz liścik.

„Wiedźma z debry". Wydajesz mi się znaną, czy nie miałaś przed paru laty wraz ze swoją koleżanką pewnej przygody, co?

„Wszystkim młodym „Krainiakom" i „Kraniankom" przesyłam moc serdeczności i proszę o pamięć!"

KOMUNIKATY „ZUCH-DZIEWCZYNY"

„Przedwiośnie". Ziuteńko, najmilsze wspomnienie z naszego poznania. Ty jesteś śliczną panienką — a że kocham Cię mocno, to chyba wyczułaś! Pan Z. jest Tobą zachwycony niemniej niż nowinkami o tej Pani — pamiętasz? Całuję Twoją śliczną buźkę i również tęsknię i czekam.

„Blanka". Apel Twój wspaniały, aprobuję i chętnie wysyłam forsę na ten cel. Weź jednak pod uwagę, że ja w tym krótkim okresie kilka razy już to czyniłam, no ale „Kraina" nie może być na końcu. Brawo!

„Bajka"; „Maruta"; „Księżniczka Henrietta"; „Miła zapałeczka", „Carmen", „Zaza"; „Biała Uajali"; „Mała Konwalijka"; „Czarny Hajduczek"; „Smutna Ślązaczka"; — pamiętam o Was, Kochane, tylko nie zawsze mogę pisać, w ostatnich zaś tygodniach przychodziło mi to z trudnością, no, ale poprawię się.

„Irusia z Wołynia". Kochanie, tak zmartwiłam się wiadomością (kawał aprilisowy) — a tu jest wręcz odwrotnie, no ale cieszę się, że tak jest. Pani Zosieńka była szczerze zmartwiona, a nie można, Kochanie, nadużywać ludzkich uczuć!

„Błędny Ognik". Takam rada, że byłeś, było nam z sobą miło i tak radośnie, czy powtórzysz swe odwiedziny? Czekam!

„Szukający". Ziku, ja już nie chcę Ci pomagać szukać, ale dam pewną radę. Weź samolot i leć! wtedy na pewno znajdziesz! Ja na przykład mam możność latania ale nie ma za kim!

„Tyran". Wybaczysz, ale na razie nie mogę mogę pisać! Napiszę po 15-tym czerwca!

„Halszka z Torunia". Kochanie, znam moc różnych Twych tarapatów. Czy skrobniesz do mnie?

„Serce Śląskie". Bardzo proszę o list — czy doczekam się?

Wszystkie Krainianki i Krainiacy — jeśli chcecie ze mną nawiązać kontakt, to proszę śmiało smarować, bo choć mam dużo korespondencji, ale dla każdego znajdę chwilkę czasu, aby na list odpisać. Bo jeśli ktoś pyta mnie o to w „Krainie" — no to nie ma zdaje się wielkiej chęci. Ja o ile czuję do kogoś sympatię — nigdy nie pytam, czy wolno — tylko piszę — a potem czekam na odpowiedź.

Kończę, ślę Wszystkim moc pozdrowień i uśmiechów — Zuch Dziewczyna"!

W KAŻDYM SŁOWIE

„To-ja". Mam przed sobą jedną pocztówkę i trzy listy Pani. Wszystkie są cudownie spokojne, jasne i krótkie. A przecież widzę z nich jasno, że nie jesteś człowiekiem nieprzystępnym i chłodnym, lecz raczej ogromnie powściągliwym. Zaś powściągliwość Twoja wypływa z przedziwnej, wręcz poetyckiej subtelności.

Wszystko, co od Pani tu do mnie przychodzi jest takie fenomenalnie proste, jasne, delikatne. Nawet wówczas, gdy usposobiona jesteś na „moll". Właśnie! Twój smutek jest także jasny, prosty i... harmonijny. Po prostu tchniesz harmonią, zawsze i w każdym Twoim słowie, w każdej poszczególnej literce. To jest cudowne, ale grozi — wybacz, że Ci to mówię — grozi zmatowieniem i spłowieniem, niech się tak wyrażę. Ja ogromnie lubię pastelowe barwy, ale one łatwiej chyba płowieją od innych. A mnie tak niewymownie zależy na tym, abyś miała w sobie zawsze barwną radość!

List dostałam. Ostatnie wierszyki oddałam Wujkowi Januszowi do oceny, aby twórczość Twoja nie wysunęła mu się spod kontroli.

A teraz pozwól, że za wzruszającą treść tego imieninowego wierszyka powiem Ci krótkie — dziękuję!

Oczekuję dalszych wiadomości oraz spełnienia pewnego maleńkiego przyrzeczenia. Bywaj mi!

Komunikaty:

„Miła „Kraino"! Budzę Cię swoim hejnałem (Nr. 3) na apel Pani „Blanki"! Niech serca Wasze uderzą gorąco dla tej pięknej sprawy!

„Blanka". Przyklasnęłam gorąco apelowi Pani! Brawo! miła Pani „Blanko"!

„Samotna Blondyneczka" jest bardzo kochaną Dziewczynką. Ślę Pani dobre słowa przyjaźni.

„Altruista". Zasyłam Panu miłe pozdrowienia, ale „szermierkę na słowa" musi Pan podjąć pierwszy. Adres u Pani Zofii.

„Zazie" i „Czarnemu Hajduczkowi" dziękuję za słowa uznania i ślę serdeczne pozdrowienia.

„Jadwiga Limba". List wysłałam."

DO „KRAINY" PRZYJĘTE

„Czarne Oczy" i „Szalona Cela". Przyjmuję Panie do „Rodzinki", łącząc życzenie szybkiego zaaklimatyzowania się w tej naszej bajkowej „Krainie".

„Panie T. K. z Gdyni. Czy pamiętasz „Walę z Tuchomia"? My, jej koleżanki, przesyłamy Ci tą drogą od Niej słodkie pa! — Napisz, adres w redakcji.

„M. T. 33". Widziałam Cię w Nowo-Święcianach — pamiętasz — znak rozpoznawczy (mundur).

„Szyderca". Czy Ty naprawdę z wszystkiego szydzisz? Napisz, odpowiedź żelazo-beton.

„Halo! „Obserwator I." Czyś Ty jest F. F. z G.? Napisz do nas. Za 3 tygodnie będziemy w Gdyni — może się zobaczymy?

„Armeńczyk". Znamy Cię. Jesteś z P....? Może się kiedy zobaczymy?"

Halo! „Krainiacy"! Kto z Was będzie w lecie w Więcborku? Zobaczymy się może i poznamy?"

KOMUNIKATY „STELLI"

Przede wszystkim dołączam swoją prośbę do drugich o zdjęcie naszej „Mamusi" krainiackiej i Wujka Janusza.

„Chochlikowi" moc uścisków z prośbą o liścik, bo kolejka Twoja.

„Cierniowej Doli" dużo słonka dla Niej i jej maleństw. Cieszę się, że łatwiej już znosić Pani kłopoty. Będzie lepiej, na pewno! p. Helenko. Zawsze po burzy czy deszczu, słonko wyjść musi.

Gdyby ktoś z poznańskich „Kranianek" lub „Krainiaków" chciał poznać arcywesołą „Stellę" jestem bardzo często w Poznaniu i z przyjemnością spotkam się z którym z członków „Rodzinki". Proszę nie patrzeć tylko na moją fotkę w „Krainie", ona jest strasznie nieudana. W rzeczywistości nie mam takiej tragicznej i „zasmarowanej" buźki i naprawdę można ze mną wytrzymać. Wszystkie „Krainianki i „Krainiaków" serdecznie pozdrawiam. Specjalne serdeczne pozdrowienie dla „Smutnej i brzydkiej Irki" i wielkie uznanie i uściski dla „Blanki" za Jej pomysłowy apel"!

KOMUNIKATY „MIMOZY"

„Blanko". Uznanie za „Łańcuch składkowy". Miałam ten sam zamiar — ale uprzedziłaś mnie — wobec tego „Cześć" Dziewczynko! Posyłam 5 zł. i miłe pozdrawiam.

„Smutna Dziewczynka znad Gopła". Dziękuję za serdeczności z podróży. Z przyjemnością poznałabym się z Tobą, ale niestety we Lwowie mieszkam tylko w zimie. Po powrocie z Italii napisz do mnie. Ucałowanie i piękne pa!

„Maleńka Hali". Za miłe słowa dużo serdeczności! Dla reszty „Rodzinki" miłe uśmiechy od „Mimozy".

PRZYJMUJĘ

„Edzio". Przyjmuję Pana do „Krainy", życzę miłej korespondencji i przedrukowuję komunikaty.

„Elżunia z Torunia". Zainteresowała mnie Pani, czy mogę uzyskać pozwolenie na zapoczątkowanie korespondencji?

„Biała Różyczka". Jak ze zdrowiem Pani Mateczki?

„Wierzba na pustkowiu". Kocham wierzby za ich swoisty charakter, lecz jeszcze bardziej żyjące istoty. Czy mogę wiedzieć, dlaczego obrała sobie Pani właśnie taki a nie inny pseudonim?

„Czarodziejka". Jestem zachwycony Pani wierszykiem. Choć nie jestem poetą, ani nawet kandydatem na takowego, to jednak rozumiem i przyswajam sobie piękno poezji".

C. O. P.

„Samotny S." Źle Pan czyni, przepraszając, że pisze Pan do mnie. Dlaczego? Bo pisać powinieneś regularnie, jako członek naszej wielkiej „Rodzinki", a jeżeli nie czyniłbyś zadość tym obowiązkom, to wówczas należałoby mi się przeproszenie. Teraz rozumiesz? Cudownie!

A teraz nie tracąc wiele czasu łączę uścisk dłoni i przedrukowuję tę część Twego listu, w której mówisz nam o C. O. P-ie.

„Sama już nazwa wskazuje, że C. O. P. jest po Gdyni naszym drugim oknem na świat życia gospodarczego. Mamy tu spotęgowaną siłę tak moralną jak i fizyczną i jesteśmy teraz na silnym gruncie. Dziś może C. O. P. dać to, na co stać silną i zjednoczoną Polskę, a czego w ogóle świat się nie spodziewał. Jeśli chodzi o rozwój jego, to przybrał tempo iście amerykańskie. Jest pięknie i nowocześnie urządzony technicznie, wyposażony w najlepsze siły fachowe. Jest w nim dziś naprawdę co zwiedzić i podziwiać stalową wolę i hart ducha polskiego inżyniera i robotnika. Dziś nikt nam nie powie, że Polska jest drewniana, bo przyznać musi, że jest raczej skonstruowana z najczystszej i najszlachetniejszej stali. Jeśli chodzi o pracę — to można ją otrzymać, gdyż jest duże zapotrzebowanie na dobre i odpowiedzialne siły fachowe. Nie powiem więcej, tyle wystarczy, aby poczuć dumę i zrozumienie wagi tego wielkiego polskiego wyczynu na polu przemysłowo-gospodarczym.

Kto z „Krainiaków" zechce dowiedzieć się więcej o naszym wspaniałym C. O. P-ie niech napisze do mnie, a chętnie posłużę bliższymi informacjami.

Przy okazji pozwalam sobie przesłać pozdrowienie dla p. „Pella z Gr.". Wiem, kim jesteś! Prawda, że Cię lepsza polowa naszej „Krainy" mocno faworyzuje, ale nie bądź przez to zarozumiały.

Ślę serdeczności dla „Róży Leśnej" i „Niesfornej Lulu" — może napiszecie, chętnie odpowiem.

„Biała Uajali". Przecudnie wyglądasz. Ślę Ci moc pozdrowień. Prawda, że blisko siebie mieszkamy. Serce Śląskie przesyła pozdrowienia, odezwij się!

Halo! „Przeklęta Iwa". Czy naprawdę przeklęta? Zdaje mi się, że się znamy.

„Safo". Ślicznie dziękuję za pozdrowienie. Uśmiechnij się.

„Biała Różyczka" i „Donia". Chciałbym się z Wami skomunikować i nawiązać rozmowę. Co Was interesuje?

Całej „Krainie" serdeczności!"

NA PAMIĄTKĘ

„Bogda". Jakże mi miło wiedzieć, że zadowolona jesteś z przynależności do „Krainy" i taka wdzięczna!

Fotografię Twoją schowałam na pamiątkę. Dobry człowiek z Ciebie, „Bogdo"!

Ściskam Ci mocno dłonie i zamieszczam komunikaty:

„Helusieńka". Kochanie, całuję Cię, cieszę się, że jesteś szczęśliwą. Udzielaj mi po trochu Twojej radości!

„Wołyniak". Kochany z Ciebie chłopiec, ale za tę medycynę, uszy Ci obetnę — pamiętaj. Pa!

„Wit". Milutkie i odpowiedź — Niech żyje!

„Obserwator I". Warto było zgadywać? Proszę przyjąć uścisk dłoni.

„Panie Wili K." Dziękuję za lalę i zająca, rozbałamuca mnie Pan tym swoimi komplementami, a ja i tak nie wierzę. Znamy się na tym zbyt dobrze. Co robi „Tat", czy pamięta Italię i małą Violetę? Ona tak często śpiewa:

„Wrócisz do mnie, wrócisz“... Proszę przyjąć dla siebie i p. T. miłe pozdrowienie od „Cyganki“. Kiedy ukaże się przez nas wybrany pseudonim w „Krainie“?

Dla „Słonecznej Jasieńki“ pozdrowienie.

„Kalino“ uśmiechnij się, gdyż przyszła wiosna a z nią odrodzenie, więc zapomnij o tym, co było, uśmiechnij się przybrana w świeże szaty — śliczna świeża; nie warto się smucić, gdy wszystko się uśmiecha. Pa!

NIE BYŁAM

„Helusieńka“: Wiesz, Smyku Mały, że uśmiałam się, czytając opis Waszego poznania z Irką.

Nie byłam w Gnieźnie na uroczystościach odpustowych — jakoś nie mogłam wybrać się, choć jest blisko.

Życzę Ci samych radości i przechodzę do komunikatów:

„Kochane oczęta“ Iruś jesteś czarująca, kiedy Cię znów zobaczę. Całuję Twoje śliczne oczka i czekam. Pozdrowienia dla Braciszka.

„Bogda“. Przesyłam pozdrowienia i uściski. Myślę o Tobie i czekam na liścik.

„Luteńka“ Dziękuję za pozdrowienia. Jesteś miluśką i jeśli choć troszkę polubiłaś „Helusieńkę“, to napisz, a sprawisz mi swoim liścikiem niewypowiedzianą radość. Serdecznie pozdrawiam i czekam.

„Maleńka Halszka“ Przyjmij serdeczności. Śliczniutką dziewczynką jesteś. Na mnie też wołają Halszka, może napiszesz do swej imienniczki?

„Stary Wojak“ Dziękujemy za życzenia, kiedy się znów zobaczymy? Często Cię wspominamy. Pozdrowienia dla Siostrzyczek.

„Smutnooki Jaś“ Dlaczegoś smutny? Wszak teraz wiosenka rozsiewa swe czary, więc wszyscy powinni się weselić. Przesyłam Ci wiosenne uśmiechy, żeby Twoje oczy stały się wesołe. Jeśli się tak stanie, to napisz mi o tym — dobrze?

„Ferdy“ Pozdrowienia odwzajemniam, lecz napisz Ty pierwszy, bo ja nie mam odwagi, choć interesujesz mnie. Czy napiszesz?

„Uran“ Znam Cię z opowiadania. Gdzie dotrzymane przyrzeczenia? Oj, to nieładnie! Pozdrowienia dla Stefki i Tadka B. z W.

„Wołyniak“ Śliczne są dumki wołyńskie prawda? Chciałabym usłyszeć, jak grasz je na gitarze. Milusko pozdrawiam.

„Armeńczyk“ Zainteresowałam się Tobą, czy zgodzisz się napisać do mnie?

Moc pozdrowień przesyłam dla: „Blanki“, „Czarnego Hajduczka“, „Czarnulki z Grudziądza“, Chochlika“, p. Tadeusza Rawickiego, „Zefira Zachodu“, „Ogłuszonego Kulaska“ i „Młodego Orła“.

Całej „Kraince“ wiosenne pozdrowienia!

TECZKA wuja Janusza

PROSZĘ UNIKAĆ!

„Dyktator“. Operuje Pan bardzo złymi rymami, np. „bez ustanku — smutku“, „wysokości — boleści“, „dostatku — smutku“.

Proszę w przyszłości unikać tego rodzaju zestawień!

WIERSZ MIŁY TREŚCIĄ

„Ta N.“ Wiersz bez specjalnych wartości literackich, ale miły samą treścią. Zostanie wydrukowany w „Krainie“!

DLACZEGO?

„Szatynka z Podlasia“. „Miłość“ jest słabym utworem. Dlaczego Pani potraktowała tak po macoszemu rym?...

WIERSZE NACIĄGNIĘTE...

P. Leon Leoński, Lwów. Wiersze mięjscami mocno naciągnięte i zniekształcone określeniami w rodzaju: „...i z łąk myśli wyrywać słów zamarłe kwiaty, by złożyć na ołtarzu wśród „kądzidł“ dla ciebie —, „bezmyślnie patrzę w powapnione śniegiem dale“... idt. Może posiada Pan w zapasie inne, lepsze wiersze?

NAJPIERW ORTOGRAFIA...

„Łobuz znad Wisły“. Widzę, że czyta Pan nieuważnie, (a może zupełnie nie?) moją „Teczkę“, gdyż popełnia Pan tyle razy napiętnowany przeze mnie błąd, mianowicie, pisze Pan po dwóch stronach papieru. Wiersz słaby! Ale — to nic dziwnego, skoro pisze Pan „wrzucisz“ przez „ó“, a słowo archiwum zniekształca na „archiwium“. Najpierw ortografia, a później dopiero pisanie wierszy!

BARKA

W mig biała barka rozpięła żagle
Okrężny wicher w nie dmie.
A jako mewa rozpiętym skrzydłem
Wzdłuż morskich szlaków mknie...
Nieustraszenie zdobywa dal,
Zjeżone grzywy modrych fal
Przez pół tnie — wdzięcznym pochyłem
Na bok uskoczy, jak tanecznica,
Przykuwa oczy ponosi myśli me...
Jak biała mewa mknie.

Rożańska.

„TWE OCZY“

St. Roslewskiej — poświęcam.

Twe cudne oczy są duszy zwierciadłem
W nich czytam marzeń słodkich tajemnicę...
I kiedy myślę, że wszystko odgadłem,
Znów nowy odblask mają Twe źrenice...

Raz są zielone, jak głębiny morza,
Za chwilę czarne, jak diamenty lśniące,
To znów promienne jako ranna zorza,
A czasem smutne i dziwnie marzące...

Wiem kiedy kłamiesz i w słowach gorących
Kryje się tylko fałsz i zła obłuda,
Spojrzę w głębinę Twych oczu jarzących,
One powiedzą — Kłamstwo się nie uda...

Więc w swym milczeniu możesz trwać bez [końca,
A patrząc w oczy, odnajdę Twą duszę,
Czystą i jasną jako promień słońca,
I pocałunkiem łzę szczęścia osuszę...

Irena Maria Wójcikowska

GDZIE SZUKAĆ SZCZĘŚCIA?

Gdzie szukać szczęścia? Nie pytaj ludzi —
Samo nadejdzie, gdy przyjdzie pora,
Jak rankiem słonko, kiedy się zbudzi —
Mieniąc się tęczą w lustrze jeziora.
Przyjdzie i samo poda Ci ręce,
Kiedy doń własne wyciągniesz dłonie
Przyjdzie, jak letni wietrzyk pachnący,
Ciepłem bławatków serce owionie.
Gdzie szukać szczęścia? Życie je daje...
Nie każdy jednak szczęśliwy z ludzi...
Wielu jest takich, których promyczek,
Choć najcieplejszy — serce nie rozbudzi!

„Wierzba na pustkowiu“.

PODAJ MI DŁOŃ!

Podaj mi swoją dłoń
i pójdźmy razem we dwoje
na twardą życia błoń,
na trudy, i na znoje!
Pan rzekł: — „Gdzie choćby dwoje
zejdzie się w Imię Moje —
Ja będę wśród nich blisko“...
— Stwórzmy takie ognisko! —
Na nowy życia szlak,
Bóg łaską nas obdarzy,
czcigodny Krzyża znak,
gdy weźmiem u Ołtarzy.
Kiedy hasła pogańskie
skarlały wznoszą twór,
Rodziny Chrześcijańskiej —
pójdź — stworzym wspólnie wzór.

Marta.

SMUTNO MI...

Jakże mi smutno, o Boże...
Wiosna nadchodzi i lato —
Ale szczęście wrócić nie może,
Daremnie czekam na to...
W wiośniany poranek blady —
Zakwitną kwiatów kiście,
Zabielą się wszystkie sady,
Ustroją się drzewa w liście.
Słońce ozłoci pola,
Pokryją się kwiatem kobierce,
A tylko smutna ma dola
I smutne zawsze me serce.

„Mimoza“.

WIERSZE MUSZĄ BYĆ CIEKAWE

P. M. D. Ż. Jeden z wierszy pójdzie do druku, mianowicie „Błogosław“. Radzę Pani wystrzegać się takich zwrotów, jakie można znaleźć w innych wierszach, a natomiast budować myśli samodzielnie, indywidualne, dotąd niespotykane. Wiersze Pani muszą być ciekawe i świeże, a nie banalne!

WIOSNA

Z południa wionął ciepły wiatr
I wieść radosną niesie.
Uderzył skrzydłem w ścianę Tatr,
I rozlał się po lesie...
A pola musnął ciepły wiew,
Płynie już pieśń radosna...
Słychać szczęśliwy ptasząt śpiew:
Wiosna już, wiosna, wiosna!...
Strop jasny od promieni smug
Przecina już skowronek,
Pierwszy wysłaniec wiosny dróg
Uderzył w srebrny dzwonek...
Pierwiosnek w trawie cicho śni
I mruży jasne oko...
Na rzęsach kropla rosy lśni,
Choć słońce już wysoko.
Każdy cię, wiosno, wita rad,
Las szumi pieśń radosną.
Echem mu wtórzy cały świat —
— Bądź pozdrowiona, wiosno!...

Irena Leszczewska.

DWIE DALE...

Przede mną i za mną —
dwie dale,
Skute obrożą przeznaczeń...
Jedna zasnuta wspomnieniem,
a druga —
szlakiem tułaczym...
Poza wspomnienia
mgły sinej...
Wykwita pas promienisty,
lśnią na nim bielą przejasną —
wszystkie twe drogie
— listy!
Poza mną — szarymi mgłami
zasnute są nowe drogi.
Jakimże będą szlakiem,
czy znowu w szczęście
ubogim?...
— A tak się tych mgławic
lękam...
Bo nie wiem, co mi
przyniosą,
Czy może nową udrękę,
nowymi łzami
twarz zroszę?...
Poza mną — przede mną
dwie dale,
Skute obrożą przeznaczeń
w mgle wspomnień
rozsnute żale...
— Majaczę...
szlaki tułacze...

Kaja Parollówna.

POMNISZ...

Pomnisz... zimowy wieczór uroczy,
Dokoła płatki śniegu fruwały —
Wówczas się nasze spotkały oczy,
Spotkały oczy — serca zadrżały.

Pomnisz... (o wizjo dni tych miniona!)
Błękit i zieleń — ów maj radosny.
I twoje silne — miękkie ramiona —
Już drugiej takiej nie będzie wiosny.

Pomnisz... sierpniowa noc była cicha,
Wyczarowana szczęścia godzina...
Złociste wino na dnie kielicha
I pocałunki słodsze od wina.

Pomnisz... w jesiennej posępnej głuszy,
Błądząc po żółkłych liści kobiercu —
Myśmy żegnali się z cierniem w duszy
I z beznadziejnym zawodem w sercu.

I prysnął złudzeń miraż świetlany,
Nie wróci szczęście już żadna siła
(Czas — lekarz może uleczy rany)
Została tylko wspomnień mogiła.

I tylko nieraz, gdy noc jest głucha
Ktoś do drzwi moich lekko kołacze:
„Czy pomnisz“... pyta — a serce słucha,
Kurczy się dziwnie i cicho płacze...

Jadwiga Sobolewska.

dy głęboko w sercu, i z pogodną twarzą zasiadła z innymi do stołu.

Nastrój był wesoły, humory dopisywały. Iga dowcipem, na który alkohol zawsze działał u niej zaostrzająco, dodawała wesela i werwy. Tańczyła dużo i — każdy to mógł stwierdzić — bawiła się świetnie. Ona jedna tylko wiedziała, jak bardzo źle się „bawi".

Wieczór ten był w ogóle pechowy.

W pewnej chwili Iga udała się do toalety, by umyć ręce i odświeżyć się — a głównie po to, aby przez chwilę nie robić twarzy dla ludzi, przez chwileczkę odpocząć od „wesołej zabawy". Długo myła ręce, długo się pudrowała, długo przyczesywała swoje czarne włosy gładziutko z rodziałem zaczesane do tyłu i spięte nisko w ciasny węzeł. Przyglądała się sobie w lustrze uważnie, jak gdyby pierwszy raz siebie widziała. Jej duże piwne oczy wydały jej się bardzo skośne niż zwykle, cera mniej śniada, niemalowane usta czerwieńsze i dziwacznie małe, jakby ściągnięte. Na prawym policzku niedaleko oka, jaskrawo odbijał maleńki czarny pieprzyk. Przypomniała sobie, że Roman tak często lubił to miejsce całować.

Nie wiadomo dlaczego zapudrowała go możliwie całkowicie i zdecydowanym krokiem skierowała się ku drzwiom, by wrócić do towarzystwa. Zajmowali stół w drugiej sali, Iga musiała przejść przez pierwszą dużą i szczelnie zapełnioną gośćmi. Zaledwie doszła do połowy, gdy stanął przed nią w średnim wieku mężczyzna, bardzo elegancko i poprawnie ubrany.

— Moje uszanowanie pani — rzekł poważnie i sucho.

Iga spojrzała zdziwiona. Twarz wydała jej się znajomą, ale nie wiedziała kto to jest. Nie mogła sobie przypomnieć gdzie kiedy i w jakich okolicznościach ją widziała.

Nieznajomy widząc jej wahanie, ciągnął dalej:

— Nie dziwię się, że nie wie pani kto jestem. Zna mnie pani zapewne tylko z fotografii. Jestem zresztą, jak mówią, podobny do mego brata nieboszczyka. Rolski jestem — skłonił się powtórnie — a wszak pani jest moją bratową...

Iga pobladła.

— Skąd ten człowiek wie o tym? — przeleciało jej jak błyskawica przez myśl. — Źle mu z oczu patrzy — czego chce ode mnie?...

— Bardzo jestem rad, że panią tu przypadkowo spotkałem. Zresztą, gdyby nie to, pozwoliłbym sobie złożyć pani wizytę. Chciałem z panią parę słów zamienić.

— Wolałabym nie teraz... Moje towarzystwo czeka na mnie. Czy to coś ważnego?

— Bardziej dla pani, niż dla mnie.

Wyraz twarzy mówiącego nie wzbudzał w Idze zaufania. Była to twarz niemiła, oczy fałszywe, uciekające od prostego spojrzenia. Ton przemawiającego nie wróżył nic dobrego. Przeciwnie — dźwięczała w nim ukryta groźba.

Iga z trudnością panowała nad sobą. Odkrycie, że ktoś, i to taki typ, zna nie wiadomo jak i skąd tajemnicę jej życia, zaskoczyło ją w sposób wstrząsający.

Czego ten człowiek chce od niej?

Instynktem wyczuła, że nie czeka ją nic dobrego.

— Na jakiej podstawie twierdzi pan, że jestem jego bratową? I o co panu chodzi?



Kobiecy oddział japońskiej obrony przeciwpożarowej podczas ćwiczeń w Tokio

— Na tej podstawie, że — po prostu — byłem niewidzianym przez was świadkiem waszego ślubu. Jestem ponadto w posiadaniu odpisu metryki ślubu. Potem widziałem panią na pogrzebie mego brata. Imponowała mi pani swoim zachowaniem. O tak, imponowała... W zeszłym tygodniu umarła moja matka, a pani teściowa. Chciałem się więc z panią widzieć, aby ją uprzedzić, że wszelkie z pani strony pretendowanie do spadku skończy się dla pani bardzo fatalnie...

— Ach, tylko o to panu chodziło. Niech się pan uspokoi, nie mam zamiaru pretendować do spadku.

— Obawiam się że może pani zmienić zdanie.

— Nie zmienię. Żegnam pana.

Odeszła nie podając mu ręki.

Ksawery hr. Rolski patrzał za nią przez chwilę, wreszcie szepnął do siebie:

— Dumna bestia. Ale Stefan miał dobry gust... To musi być niewiasta z szampanem... A gdyby tak pójść w jego ślady... ale bez ślubu, bez...

Iga wróciwszy do swego towarzystwa, nie czuła się na siłach pozostawać dłużej na zabawie. Spotkanie z bratem swego nieżyjącego męża — uderzyło nią jak grom. Posiadanie przez tego człowieka jej tajemnicy — tak zawsze z całym zaparciem się strzeżonej przed ludźmi — napełniło wielkim niepokojem.

Przeczuwała, że spotkanie to nie będzie dla niej bez konsekwencji.

Z przykrością przyjęto oświadczenie Igi, że źle się czuje, co motywowała tkwiącym w niej zapewne jeszcze przeziębieniem i że pragnie wrócić do domu. Zwarzyło to humory wszystkim, ale zmiana w wyrazie twarzy Igi była wyraźna, że nikt nie starał się nakłonić jej do pozostania. „Henryś" natomiast ofiarował się odwieźć ją do domu.

Gdy byli już w aucie, zapytał szczerze i po prostu:

— Mam wrażenie, że nie choroba skłoniła panią do powrotu do domu. Musiało panią spotkać coś bardzo przykrego, coś bardzo przykrego i niespodziewanego...

— Tak. Coś bardzo przykrego i bardzo niespodziewanego... — powtórzyła cicho, ledwo dosłyszalnym głosem.

— Czy mógłbym pani w czymś być pomocnym? Jeżeli tak, będę bardzo szczęśliwy. Nie może pani chyba wątpić w moją dla pani życzliwość.

Powiedział to goręcej niż sam chciał.

— Bardzo panu dziękuję. Ale niestety — to są takie sprawy, o których z nikim, z nikim mówić nie wolno. Muszę sama sobie dać rady. Sama.

— Nie ma pani do mnie zaufania — odpowiedział z żalem w głosie.

— Przeciwnie. Gdybym nie miała zaufania, nie powiedziałabym tego, co powiedziałam, w obawie, że pan komuś powtórzy naszą rozmowę. Twierdziłabym, że jestem chora... Ale oto już jesteśmy na miejscu. Bardzo panu dziękuję. Niech pan wraca do naszej „bandy" i niech się pan bawi wesoło. Dobranoc panu.

„Henryś" po pożegnaniu się z Igą nie wrócił do „bandy". Odprawił taksówkę i długo w noc włóczył się po mieście. Kochał Jadwigę od dawna, ale jej pełna prostoty pogoda miała w sobie coś, czego wprawdzie nie można było uchwycić konkretnie, a co jednak wyraźnie czyniło ją niedostępną. Na ten wieczór wspólnej zabawy cieszył się ogromnie — i pokładał w nim duże nadzieje. Teraz nadzieje te pierzchły. Pozostał żal i serdeczny niepokój o to, co mogło spotkać Igę, co aż tak nią wstrząsnęło, pozostało bolesne poczucie bezsilności. A przecie gotów by ostatnią kroplę krwi dla niej wylać.

Błąkał się po mieście do rana i już było zupełnie widno, kiedy wrócił do domu.

ROZDZIAŁ IX.

Iga, znalazłszy się u siebie, ciężko usiadła w fotelu, przechyliła wtył głowę na poręcz, zamknęła oczy i tak nieporuszenie siedziała długie godziny.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

BOHDAN LEKSZYCKI

Przeklęty spadek

POWIEŚĆ SENSACYJNA

Historia Boba O'Sullivan'a przypomina mi zawsze dzieje powieściowego Tarzana, o którego fantastycznych przygodach lubię czytać w długie, zimowe wieczory, siedząc w wygodnym fotelu przed kominkiem. Historie te różnią się jednak pod bardzo wielu względami, z których jeden jest zasadniczej wagi: dzieje O'Sullivan'a są prawdziwe...

Niewiele wiem o jego życiu w puszczach Afryki, gdyż sprawy te wówczas miały dla mnie podrzędne znaczenie. Z tego, co sam O'Sullivan opowiedział memu przyjacielowi, detektywowi Sławiczowi, uważałem za wskazane ułożyć prolog. Nie jestem Burrougs'em, by móc należycie opisać życie tego człowieka na łonie natury, a zerstą nie czuje się do tego powołany. Jeżeli pokusiłem się o opisanie przygód O'Sullivan'a, to dlatego tylko, że wiążą się one ściśle z przygodami Sławicza, które od kilku lat podaję do publicznej wiadomości — ze względów, jakie prędzej, czy później staną się ogólnie znane.

Sławicz zajmował przed laty stanowisko inspektora w Scotland Yardzie pod przybranem nazwiskiem Richarda Thompson'a. Kariera jego była niesłychanie burzliwa. Nadmienić muszę, że służył on także w paryskiej Sureté jako... Richard Marchandieux, a przygody jego we Francji idą o lepsze z przygodami w Anglii. Dlaczego Sławicz pracował w Yardzie i w Sureté? Oto dlatego, że jego śmiertelny wróg, nieuchwytny zbrodniarz Piotr Małach, przeniósł się ze swoją potworną działalnością z Polski do Anglii, a z Anglii — do Francji...

Małach — Claude Masske... Na samo wspomnienie tej makabrycznej postaci zbiega mnie zimny dreszcz...

PROLOG

Ho-To-To obudził się. Ziewnął, klapnął potężnymi szczękami i leniwie powstawszy w swym legowisku, pochwycił rękami konar mangowca, poczem, zwijając smagłe ciało w kabłąk, uczepił się chwytnymi stopami gałęzi, rozhuśtał ją i w mgnieniu oka wisiał już na rękach na sąsiednim baobabie.

Miejsce to było codziennym jego punktem obserwacyjnym, skąd wypatrywał krzykliwe papugi, których mięso przekładał nad inne pożywienie.

Dziś jednak Ho-To-To nie myślał o polowaniu. Siedząc na zgięciu konara, patrzył na wschodzące słońce i mrużył oczy — jak kot, rozkoszując się ciepłem. Opuścił go nagle dawny spokój i po raz pierwszy od osiemnastu lat, które spędził w puszczy, nie stykając się z ludźmi — zdał sobie sprawę, że jest człowiekiem...

W mózgu jego wartką falą przelewały się wspomnienia, ukryte dotąd gdzieś w mrocznych zakamarkach podświadomości. I — jednocześnie z owymi wspomnieniami — człowiek zaczynał w nim brać górę nad zwierzęciem.

Ho-To-To myślał. Może jeszcze nie tak, jak jego współplemieńcy zza wielkiej Puszczy, ale niemniej myślał. Myśli te — to było najprzykrzejsze — nie odznaczały się pogodą świeżo obudzonej świadomości: Ho-To-To zgrzytał zębami i walił pięściami w swą szeroko rozrosłą pierś — jak rozgniewany goryl-samotnik.

Lata w puszczy mijały szybko i Ho-To-To nie zdawał sobie sprawy z ubiegających dni, tygodni, miesięcy, lat: wschody i zachody nie miały znaczenia początku i końca, a dnie i noce niewiele różniły się od siebie. Sen, poszukiwania pożywienia, igraszki z dwoma gorylami-przyjaciółkami: Lo-Wu i Mo-To, naturalne kąpiele słoneczne. I znów: słońce, zabawa, jadło, drzemka — zwykłe życie wielkich małp w dzikich ostępach puszcz afrykańskich.

I nagle — jakby zasłona raptownie zdarta z oczu, olśnienie ślepca po operacji katarakty. Ale u ślepców dominuje wrażenie teraźniejszości, błyskotliwe objawienie obrazu, rysującego się przed uzdrowionymi oczami w momencie przełomowym; Ho-To-To był ślepcem w wielkiej krainie świadomości — i przed jego zdumionymi oczami objawiła się przeszłość.

Był dziesięcioletnim chłopcem, gdy ojciec przywiózł go do Afryki. Przywiózł go z matką, smutną, chorą kobiecinką i — z dwoma wujami. Pragnęli założyć farmę w nieprzebytych puszczach Kongo i pracować z dala od ojczystej Irlandii, tosunki bowiem między Anglikami, a Irlandczykami nie były wtedy bynajmniej tak poprawne, jak obecnie. Ojciec Ho-To-To przywiózł z sobą dużo belgijskich franków, złotych krążków, którymi chłopiec tak lubił się bawić...

A potem, jednej nocy — już po śmierci matki, zmarłej na złośliwą febrę — gdy Ho-To-To, wymknąwszy się z namiotu, siedział na tamaryndowcu i objadał się jego kwaskowatymi owocami, zdarzyło się coś okropnego i koszmarnego, jak zły sen, coś, z czego Ho-To-To na razie nie mógł sobie zdać sprawy. Oto w namiocie rozległy się nagle dwa wystrzały z rewolweru i — nim Ho-ToTo mógł uświadomić sobie, co się stało — ojciec jego wybiegł skrwawiony na polankę i padłszy twarzą w płonące ognisko, wykrzyknął: ,,Bob... Uciekaj! Uciekaj!" — i ucichł.

Strwożony Ho-To-To ześliznął się po pniu tamaryndowca, chcąc pobiec z pomocą żywcem płonącemu ojcu, nim jednak przebył połowę przestrzeni, dzielącej go od ogniska, jeden z wujów starannie wymierzył do niego z rewolweru — zimna, okrutna twarz zbrodniarza wyryta jest w mózgu, jak na kliszy fotograficznej — i chłopiec, jednocześnie słyszy huk wys[illegible] po-tężny wstrząs [illegible]



Cztery kobiety-karzełki znalazły się w towarzystwie olbrzymiego cowboy'a amerykańskiego, który je dosłownie obnosi na rękach



Król angielski osobiście wręcza puchar mistrzowskiej drużynie piłki nożnej w Anglii — Klubowi Portsmouth

osunął się bez przytomności na ziemię.

Ocknął się w jakimś wielkim legowisku z gałęzi i z traw wśród niebrzebytej gęstwiny drzew, i pnączy. Umysł jego był w owej chwili umysłem niemowlęcia: wskutek ciężkiego postrzału w głowę stracił pamięć; nie zdawał sobie sprawy, kim jest, gdzie się znajduje — przeszłość i teraźniejszość zlały się w jedno ciekawe spojrzenie na świat... Jakieś dwie małpki wśród wesołych skoków i pląsów wpychały mu do ust soczyste banany. Przyjmował to jako coś zupełnie naturalnego, a gdy nasycił się — zasnął.

Kiedy obudził się znów, dostrzegł przy sobie wielką, kosmatą małpę, która pieczołowicie lizała jego twarz, a później całe ciało, okryte zaledwie paroma strzępkami ubrania.

Minęło od tego czasu osiemnaście lat, ale Ho-To-To — sam się tak nazwał — nie wiedział o tym. Zupełnie zapomniał mowy ludzkiej, posługując się jedynie nieskomplikowaną mową goryli — i niczym nie różnił się od małp, oprócz bardziej harmonijnej budowy ciała i braku uwłosienia...

I naraz pamięć wróciła: Ho-To-To uświadomił sobie przeszłość i własne człowieczeństwo. Z oczu jego popłynęły łzy, usta szeptały dziecięce, bezpośrednie słowa bólu i skargi, — jednocześnie wrzał w nim gniew małpy i Ho-To-To walił pięściami w pierś i złowrogo zgrzytał zębami...

Po kilku minutach uspokoił się nagle. Zeskoczył na niższą gałęź, dawał olbrzymie susy z konaru na konar, dążąc gdzieś w głąb puszczy. Drogę wskazywał mu nabyty instynkt małpy, a cel uświadomiło mu zbudzone serce człowieka.

W parę godzin później zatrzymał się na rozłożystym tamaryndowcu, zeskoczył z niego na ziemię i przypadłszy do pnia, począł grzebać pod nim rękami. Niebawem natrafił na ziemię i przypadłszy do pnia, począł grzebać pod nim rękami. Niebawem natrafił na spory garnek gliniany, rozbił go o drzewo i patrzył — jak między palcami spływał mu na puszyste poszycie lasu deszcz złotych monet.

— Dla tych żółtych krążków zabito mego ojca... — szeptał z oczami pełnymi łez.

Pamiętał — jakby to było wczoraj — że wujowie jego byli chciwi, pamiętał, że ojciec, przeczuwając coś złego, zakopał w jego obecności pieniadze i nakazał mu milczenie. Ho-To-To wiedział, co można było kupić tam, po za Wielką Puszczą, za te złote pieniądze i — nie miał już wątpliwości, dlaczego ojciec jego został zamordowany. Zbrodnia jednak nie przyniosła mordercom spodziewanych korzyści; pieniedzy nie znaleźli.

Ho-To-To — małpa począł nagle walić wściekle pięściami, aż echo roznosiło po puszczy potężne dudnienie, a później Ho-To-To — człowiek rzucił się na ziemię i wszczepiwszy palce i paznokcie w trawę, łkał głośno, jak zbite chłopię...

I. SZLAKIEM ZEMSTY

„Président Carnot" odpływał. Potężna śruba pruła coraz zajadlej zielonawą roztocz oceanu, pozostawiając za okretem długą smugę srebrzystej piany. Delfin przyglądały się roztropnie swymi wielkimi, okrągłymi oczami, pokrytym wodorostami bokom statku, ale nie popłynęły za nim: tylko na pełnym morzu wyrzucają okręty odpadki — przysmaki dla żarłocznych, a leniwych ryb...

Na rufie, o ile możności jak najdalej od kręcących się po pokładzie różnojęzycznych pasażerów, stał oparty o balustradę Ho-To-To w towarzystwie swych nieodstępnych przyjaciół z Wielkiej Puszczy: Mo-To i Lo-Wu, wzbudzających wśród podróżnych niemałą sensację swymi kolosalnymi rozmiarami.

Ho-To-To, pozornie zajęty obserwowaniem strwolotek, co chwila uciekających z wody lazurowe powietrze przed żarłocznymi tuńczykami, w rzeczywistości obmyślał plan działania.

Nie był to już ów Ho-To-To, płaczący jak dziecko pod rozłożystymi konarami tamaryndowca, gdzie ojciec jego wydawał ostatnie tchnienie był to już Ho-To-To — małpa o umyśle dziesięcioletniego chłopca...

Był pojętny i pół roku, spędzone w pobliżu wsi murzyńskiej, a później koło farmy białych, wystarczyło mu, by zbadać dokładnie tryb życia ludzi i nauczyć się, jak należy z nimi obcować. Nie czuł zresztą chęci powrotu na łono cywilizacji, by walczyć o byt w nieznanych sobie warunkach. Zbyt dobrze zresztą utkwiła mu w pamięci śmierć ojca, a dziecięcy podówczas jego mózg wyolbrzymił prześladowania, jakich doznawali w kraju.

Postanowił jednak — pragnienie to było silniejsze od niego — pomścić śmierć ojca na wujach-mordercach i wracać do Wielkiej Puszczy, gdzie żył beztrosko i spokojnie, z dala od ludzi, którymi pogardzał jako istotami znacznie od siebie słabszymi i tchórzliwymi, śmiesznie tchórzliwymi! Ho-To-To nie pamiętał prawie, czego uczono go w szkole — i wartości umysłowe nie istniały dla niego. Cenił tylko silnych i odważnych: tylko z silnymi i odważnymi lubił walczyć i zwyciężać ich. Słabi nie istnieli dla niego, chyba — jako pokarm.

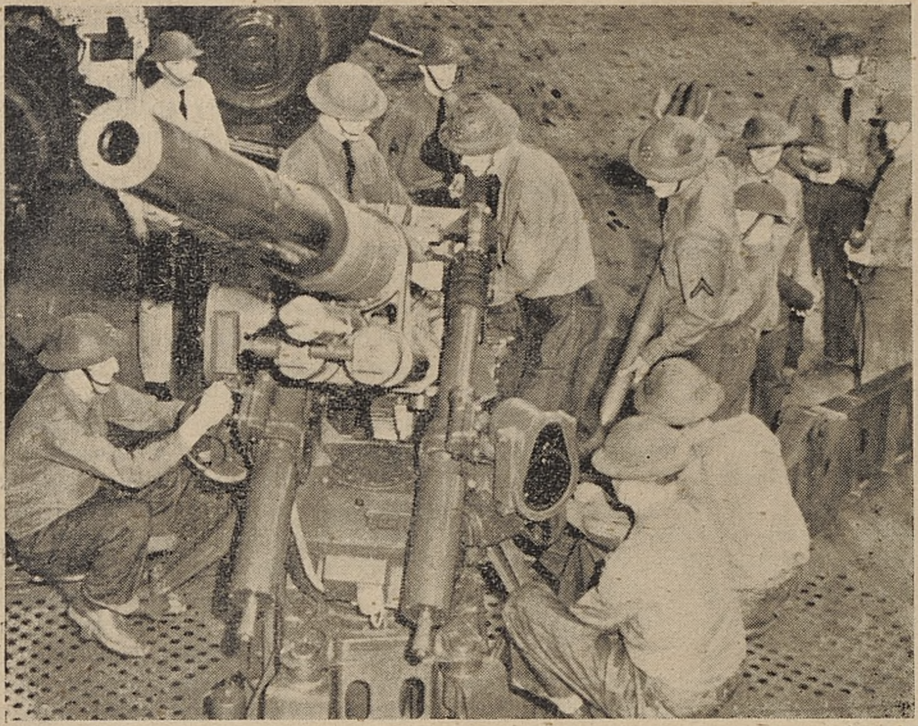
Przez długie miesiące obserwował ludzi — i przyzwyczajał się do noszenia ubrania. Była to naprawdę udręka. Odzież krępowała jego ruchy, uściskami ciała w dziesiątkach miejsc, łaskotała skórę w sposób o wiele bardziej dotkliwy, niż czyniły to czułki owada, który spadłszy z drzewa na jego barki, ze zdumieniem rekognoskował nieznany teren.

Ubranie owo Ho-ToTu- ukradł pewnemu koloniście, który mniej więcej odpowiadał jego olbrzymiemu wzrostowi. Trzeba oddać olbrzymowi sprawiedliwość, że zrazu chciał kupić ową odzież, lecz zmuszony był wyrzec się swego zamiaru, koloniści bowiem, ujrzawszy go na skraju ich osiedla, umknęli przed nim w popłochu, noszącym wszelkie cechy zabobonnego lęku. Tchórzostwo to rozgniewało Ho-To-To. Wszedł do osiedla i zabrał ubranie bez wiedzy jego właściciela. Zabrał także lusterko i nożyczki i przy pomocy tych przedmiotów upodobnił się trochę do człowieka cywilizowanego. A potem całymi dniami, z węzełkiem na plecach, przedzierał się po konarach drzew na wschód, gdzie miał znajdować się jakiś port. Nie znał nazwy owego portu, ale niejasno przypominał sobie jego położenie. Dwa przyjacielskie goryle dążyły za nim, jak czyniły to zawsze.

U podnóża jakiejś góry, na której zbudowana była osada, Ho-To-To zatrzymał się i przywdziawszy odzienie, udał się między ludzi. Goryle przyczaiły się w zaroślach. Olbrzym wyszukał jakiegoś negra fryzjerzynę i chociaż nie mógł porozumieć się z nim po angielsku, ani tym mniej po iryjsku, na migi polecił się ostrzyc i ogolić. Później na migi wytłumaczył negrowi, że jest pogromcą zwierząt — pamiętał cyrk z dni swego dzieciństwa — i prosił o ułatwienie mu dostania się do najbliższego portu. Negr wynalazł jakiś olbrzymi dwukołowy wehikuł, ciągniony przez woły — po dwóch dniach uciążliwej drogi Ho-To-To wraz ze swymi kosmatymi przyjaciółmi znalazł się w Banana. Z trudem dostał się na okręt, nie chciano bowiem przyjąć pokład groźnie wyglądających małp. Jednakże garść złotych franków i solenne zapewnienie, że goryle są „oswojone" — udobruchały pijanicę kapitana, któremu wiecznie brakowało pieniędzy z racji za-



Oficerowie amerykańscy dla przyzwyczajenia się do przebywania w masce przeciwgazowej uprawiają w niej nawet sport.



Najnowsze amerykańskie działo przeciwlotnicze

miłowania do dżynu i grogu. Co prawda Mo-To i Lo-Wo zgrzytały zajadle zębami na widok ludzi i objawiały niepokonaną chęć zduszenia ich w swych potężnych ramionach, usilne jednak perswazje Ho-To-To, poparte potężnymi ciosami pięści którego każdego człowieka wyprawiłyby na drugi brzeg, dokonały swego. Małpy tolerowały obecność ludzi, omijając ich wszakże z daleka.

Podróż morska była nową udręką, zarówno dla Ho-To-To, jak i dla goryli. Brak ruchu, brak świeżego pokarmu, brak świeżej wody. Nocą, gdy na pokładzie przestali się kręcić podróżni, a obecność załogi ograniczała się do nocnej wachty, cała trójka wdrapywała się na maszty, dziko harcując po rejach i olinowaniu.

Wreszcie znaleźli się w Queenstown. Razem z tłumem wydostali się do portu i wtedy dopiero Ho-To-To dowiedział się poraz pierwszy, co znaczy — paszport.

Otoczyli go jacyś ludzie w mundurach. Widząc, że nie pojmuje, o co im chodzi zaprowadzili go do urzędu policji, nie zwracając zbytniej uwagi, że idzie za nimi cała czereda uliczników, zdumionych ukazaniem się na ulicy olbrzymich goryli.

W urzędzie policyjnym Ho-To-To począł powoli orientować się, o co chodzi, jak przez mgłę dotarło do jego świadomości wspomnienie mnóstwa formalności, który musiał zadośćuczynić zmarły ojciec przed wyjazdem do Afryki. Na szczęście, jeden z policjantów — stary Irlandczyk — pamiętał rodzinę O'Sullivan'ów i doszukawszy się w twarzy olbrzyma podobieństwa, poręczył za niego, a nadto udzielił mu informacyj o zangliczałej rodzinie O'Sourke'ów, jego wujów. Jeden z nich mieszkał na przedmieściu sąsiedniego Cork.

— By gosh! — zakończył policjant swą rozmowę z Ho-To-To. — Francuski okręt w porcie wojennym! Czy może się pan dziwić, że badamy dokumenty podróżnych...? A co do mr. S'Sourke'a, to nie chciałbym źle mówić o pańskim krewny, ale on mi się nie podoba, słowo daję mr. O'Sullivan, bardzo mi się nie podoba, jakkolwiek cieszy się nienaganną opinią.

Ho-ToTo wieloznacząco pokiwał głową, poczem, podziękował staremu policjantowi, wymknął się zręcznie gawiedzi i ruszył wskazaną drogą.

Ponieważ O'Sourke House, jak stwierdził wkrótce, stał na skraju lasu, zdołał niezauważony przez nikogo, dostać się do ogrodu, a później przez niezamknięte drzwi do wnętrza mieszkania.

Gdyby tam, w Afryce, mógł przewidzieć wszystkie tarapaty, w jakie popadnie, nigdy zapewne nie opuściłby swojej Wielkiej Puszczy... Szlak zemsty przyniósł mu okrutne cierpienia.

II. ZAGADKOWE ZWŁOKI W KANALE

Inspektor Thompson powrócił do domu późno w nocy. Ubranie jego było podarte i zakurzone, a uważniejszy obserwator spostrzegłby na nim, małe, ciemne plamki, podobne do kropel krwi, niedawno zaschłej.

Mimo to twarz detektywa jaśniała zadowoleniem, a w odpowiedzi na pełne przestrachu miny i gesty swego starego służącego, Sylwestra, parsknął beztroskim śmiechem.

— Schowaj, stary, całe to swoje karawaniarstwo na moment prawdziwie tragiczny, jaki wkrótce może nadejść, a teraz podaj mi szklankę dżinu i przygotuj wannę.

To rzekłszy, usiadł przy swym olbrzymim biurku i z wprawą zawodowego dziennikarza począł przerzucać stos gazet, nagromadzony od tygodnia.

Ale już po paru minutach wesoła jego twarz spoważniała nagle.

— Mój Boże! — szepnął. — Czy to czasem...

I półgłosem zaczął czytać dłuższą notatkę, opatrzoną ogromnym tytułem: „TAJEMNICZY TRUP OGRYZIONY PRZEZ SZCZURY. — Niezwykłe odkrycie w kolektorze kanalizacyjnym w Dublinie."

„Sensacyjna i straszna wieść zelektryzowała w poniedziałek w godzinach przedpołudniowych stolicę Irlandii. Robotnicy miejscy zatrudnieni oczyszczaniem kanału, znaleźli w pobliżu plaży Sackville nad rzeką Liffey tajemniczego trupa, wiszącego w kanale.

Robotnicy, zajęci oczyszczaniem, względnie kontrolowaniem kanałów w okolicy Belfast Street, przystąpili do zdejmowania pokryw kanałów, położonych przy Hugh Garden, a więc tuż nad brzegami Liffey. Dwaj robotnicy, O'Brien i Sohera, usłyszeli przeraźliwe kwiki szczurów przy odkrywaniu pokrywy, poczem ujrzeli ku swemu przerażeniu nagie zwłoki, wiszące na żelaznym pręcie. Natychmiast zawiadomiono władze policyjne.

Na pierwszy rzut oka widać było, że zwłoki znajdowały się tam już od dawna. Jak przypuszczają, mogły one wisieć od mniej więcej pół roku, gdyż w sierpniu ub. r. ostatni raz kontrolowano ów kanał.

Zwłoki są częściowo pożarte przez robactwo i szczury i gęsto pokryte pleśnią. Wywierają one niesamowite i wstrząsające wrażenie. Czaszka silnie skrzywiona jest w lewo. Resztki zwisającego ciała trzymają się nadeschniętej twarzy. Ułożenie rąk wskazuje do pewnego stopnia, jakoby nieszczęśliwa ofiara opierała się, by nie wpaść w ciemne tonie Liffey.

Według wszelkich przypuszczeń upada hipoteza samobójstwa, gdyż trup jest zupełnie nagi, tudzież ma na tylnej części głowy dwa głębokie otwory, zadane niewątpliwie twardym narzędziem. Należy zatem przypuszczać, że ma się tu do czynienia z morderstwem. Pierwsze badania ciała nasuwają przypuszczenie, że są to zwłoki kobiety. W jakim wieku — wykaże sekcja zwłok.

Najprawdopodobniej nieznany sprawca, względnie sprawcy bezprzytomną lub pozbawioną życia ofiarę powiesili w kanale. Nie jest również wykluczone, że ofiara dopiero po zamordowaniu została dla utrudnienia śledztwa rozebrana i nago powieszona w kanale. Być może, że sprawcy morderstwa byli poinformowani, kiedy odbywała się ostatnia kontrola kanału i ukryli tu zwłoki w przekonaniu, że zbrodnia nieprędko wyjdzie na jaw.

Zwłoki po odfotografowaniu przewieziono do zakładu medycyny sądowej, gdzie nastąpi sekcja, poczem władze przystąpią do szczegółowego śledztwa".

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)



W armii angielskiej wprowadzono przenośne radiostacje do potrzeb obrony przeciwlotniczej

RAJ KOBIET

Czy jestem zachwycająca

W ostatnich kilku latach pisma codzienne, miesięczniki, tygodniki itd., przepełnione są artykułami na temat zachwycających kobiet. radami, co czynić, aby pozyskać t. zw. „glamour". W strojach kładziony jest największy nacisk na uwydatnienie wdzięku kobiecego. ażeby kobiety wyglądały powabnie i zachwycająco. Nie starczy dzisiaj być tylko piękną — trzeba być także powabną, czarującą i inteligentną, ażeby zdobyć miano kobiety zachwycającej. Piękna twarz bez inteligencji nic dzisiaj nie znaczy, lecz piękność fizyczna połączona z pięknymi zaletami duszy i inteligencją stanowią wymagane kwalifikacje do miana zachwycającej kobiety. Poniżej podajemy kilka pytań, na podstawie których będziemy mogły najlepiej same osądzić, czy posiadamy wymagane kwalifikacje, czy też nie.

1. Czy posiadam kształtną figurę?
2. Czy jestem zawsze uśmiechnięta i wesoła dlatego, że jestem w dobrym zdrowiu, czy też kwaśna i złośliwa dla tego, że coś mi dolega?
3. Czy odbywam codzienne ćwiczenia gimnastyczne, ażeby pobudzić cyrkulację krwi i utrzymać kształtną figurę.
4. Czy trzymam się prosto z głową wysoko podniesioną, czy też niedbale zgarbiam się podczas siedzenia lub chodzenia?
5. Czy mam cerę gładką i wolną od wszelkich plam i krost?
6. Czy jestem zawsze ładnie zaczesana i czy włosy me posiadają zdrowy połysk?
7. Czy oczy me mają blask młodzieńczy, czy też są wymęczone nadmierną pracą, lub też wadliwymi okularami?
8. Czy noszę wygodne trzewiki, w których z łatwością i pewnością siebie mogę spacerować?
9. Czy jestem dumna z ładnego wyglądu mych rąk?
10. Czy wybieram kosmetyki dla siebie odpowiedniego odcienia do mej cery?
11. Czy przed udaniem się do snu, zmywam ciepłą wodą i mydłem ślady pudru i różu z twarzy?
12. Czy używam pudru i różu tak umiejętnie, iż cera ma zawsze wygląda naturalnie?
13. Czy zawsze wysyłam suknie i płaszcze do czyszczenia?
14. Czy zmieniam codziennie pończochy i spodnią bieliznę i czy często przepieram gorsety?
15. Czy suknie moje są zawsze świeżo odprasowane i wolne od plam?
16. Czy często oddaję trzewiki do szewca, ażeby nie mieć zdartych lub wykrzywionych obsasów?
17. Po czesaniu włosów, czy usuwam z ubrania szczoteczką wypadające włosy lub łupież?
18. Czy używam wody kolońskiej, lub też dobrej perfumy do skompletowania toalety?
19. Czy utrzymuję w dobrym stanie torebki ręczne, ażeby nie razić estetycznych wymagań?
20. Czy jestem zawsze ubrana „na ostatni guzik", czy tylko wtenczas, gdy wymaga tego towarzystwo?
21. Czy potrafię uważnie słuchać wypowiedzianych zdań podczas rozmowy towarzyskiej, bez przerywania?
22. Czy staram się modulować swój głos, tak, ażeby nie był za niskim, lub za wysokim i rażącym?
23. Czy staram się wyraźnie wymawiać wszystkie słowa, ażeby być zrozumianą?
24. Czy jestem miła i grzeczna dla swych podwładnych ekspedientek sklepowych itp.?
25. Czy czytam codziennie coś poważnego w dziennikach, i czy staram się przeczytać przynajmniej jedną książkę tygodniowo na poważny temat?
26. Czy staram się kontrolować me uczucia, ażeby niepotrzebnie nie irytować się i nie unosić gniewem?
27. Czy jestem zawsze miła dla najbliższego otoczenia, czy tylko wtenczas, gdy jestem w wyjątkowo dobrym humorze?
28. Czy potrafię utrzymać sekret w tajemnicy powierzony?
29. Czy jestem dyskretną i wyrozumiałą?
30. Czy staram się zawsze powiedzieć coś miłego o moich znajomych i przyjaciółkach?

Jeśli potraficie odpowiedzieć potwierdzająco na przynajmniej 20 z tych wyżej wymienionych pytań, to naprawdę możecie być zaliczone do zachwycających kobiet, jeśli zaś nie, to trzeba jak najprędzej rozpocząć pracę nad udoskonaleniem samej siebie.

(Il. Codz. Kur. Arg.)

Wystawa „Świat kobiety"

Organizowana przez Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet Wystawa „Świat Kobiety", która obudziła tak wielkie zainteresowanie w całym kraju, zostanie otwarta dla publiczności

Haftujemy sukienki na lato!



K 36508

K 36506

K 36501



K 36551

K 36512

K 36550

w Warszawie w gmachu Resursy Obywatelskiej w dniu 25 maja br.

Wystawa ta będzie przeglądem zainteresowań kobiet we wszystkich dziedzinach. Liczne organizacje kobiece przedstawią na niej dorobek swej pracy.

Salon Sztuki, urządzony w ramach Wystawy, zgromadzi prace najwybitniejszych plastyczek polskich.

Moda i kosmetyka cieszyć się będzie niewątpliwie szczególnym zainteresowaniem zwiedzających, a wzorowe gosposie znajdą wiele ciekawych i użytecznych przedmiotów w interesującym zawsze dziale gospodarstwa domowego.

Komitet Wystawy pomyślał również o atrakcjach. Pokazy mód, recitale muzyczne, i interesujące pogadanki, kino itp. uprzyjemnią zwiedzanie Wystawy, która w okresie przedwakacyjnym będzie największą atrakcją stolicy.

RZECZY CIEKAWE Z ŻYCIA KOBIET

Znak czasu

Młode Paryżanki mają nielada kłopot z nauką geografii w dzisiejszych czasach, by więc móc na poczekaniu sprawdzić granice tego czy innego kraju, wystarczy im sięgnąć po puderniczkę lub papierośnicę. Przedmiotów tych nie zdobi więcej futurystyczny rysunek, lecz „ostatnia" mapa Europy, Afryki i nie ulegająca zmianom mapa Ameryki Półn. Mapa ryta jest na masie perłowej, którą wyłożona jest zewnętrzna strona puderniczki, zaś większe miasta oznaczone są kolorowymi punkcikami. Większe w rozmiarach papierośnice srebrne ozdobione są mapą rytą w brązie, natomiast srebrne i złote mapy znajdują się na papierośnicach z czarnej emalii.

Witaminowy instytut piękności

W najelegantszej dzielnicy Londynu May Fair został otwarty nowy instytut piękności. Nic właściwie nie było w tym ciekawego, gdyby nie przemówienie właścicielki instytutu p. Mary Caswel, która zapowiedziała, że w instytucie jej, kremy, pudry i inne specyfiki zostały skasowane!

Panie, które korzystać będą z Instytutu p. Caswel będą odżywiały się w czasie kuracji wyłącznie owocami i jarzynami. Zamiast kremów kosmetyczka nałoży na twarz maseczkę z ogórków lub brzoskwiń, bananów i innych... bardzo smacznych owoców. Gatunki owoców, jakie instytut pacjentce swej zaaplikuje, są zależne od gatunku cery. Cera sucha potrzebuje np. tartego orzecha amerykańskiego lub banana, cera tłusta natomiast: ogórka, marchewki itp.

Kuracja „witaminowa" w Instytucie kosztuje 50 funtów (1250 zł) i jak dotychczas p. Caswel ma zajęte wszystkie godziny na najbliższe miesiące.

HIGIENA i zdrowie

Pielęgnujmy cerę środkami naturalnymi

— Jutro obudzisz się o 20 lat młodsza o ile będziesz używała takiego a takiego kremu — lub — kremy nasze zawierają rad odżywczy dla skóry — tak i podobnie zachwala szumna reklama, posługująca się wszelkimi najnowocześniejszymi środkami, jakimi są: druk, świetlne efekty, fale eteru. A tymczasem niektóre te, tak szumne kosmetyki, zawierają dużą ilość szkodliwych składników chemicznych i dla skóry dłuższe ich używanie może przynieść skutki wręcz odwrotne od tych, jakie reklama głosi.

Niejedna piękna pani wydaje duże sumy na zagraniczne lub krajowe środki upiększające cerę, a wyników pożądanych nie widać. Wiele z nas nie wie, że posiadamy cudowne kosmetyki pod ręką. Mamy pewną ilość owoców krajowych, działających naprawdę ożywczo i zbawiennie na naskórek. Trzeba je tylko znać i umieć je zastosować. Działanie ich jest wyśmienite. Nie zawierają one składników chemicznych, nie mogą zatem niszczyć skóry. Składniki organiczne zawarte w środkach kosmetycznych naturalnych również mogą skórę naszą odświeżyć, wybielić, oczyścić.

Doskonałym środkiem kosmetycznym upiększającym jest pomidor. Zastosowanie jego jest idealnie proste.. Należy przekroić dojrzały czerwony pomidor na dwie połowy, twarz uprzednio zmyć letnią wodą, natrzeć skórę twarzy sokiem pomidorowym z obu połówek i udać się na spoczynek nocny. Sok ma przeschnąć na twarzy. Następnego dnia rano zmyć twarz letnią wodą. Czynność tę powtarzamy przez 2 tygodnie, a już po paru dniach będzie można zauważyć zbawienne dla twarzy działanie soku pomidorowego, tak taniego w sezonie. Cera stanie się świeża, aksamitna i zdrowa. Również doskonałym środkiem kosmetycznym jest pasta ogórkowa. Po obraniu świeżych młodych ogórków, wybieramy z nich nasienie i gotujemy. Masę ugotowaną przecieramy przez sito i jeszcze raz gotujemy, stale mieszając, aby pasta stała się gęsta. Po ostudzeniu mieszamy z czystą lanoliną i krem gotów. Pasty tej używa się, wcierając ją w skórę twarzy i rąk. Podobny skutek wywiera pasta, zrobiona z dyni i z jabłek. Ogórki świeże możemy mieć tylko parę miesięcy w roku, a jabłka i dynie przez dłuższy okres. Dodanie do wody do mycia soku wyciśniętego ze świeżych ogórków działa orzeźwiająco dla skóry twarzy.

Niewiele pań zapewne wie, że istnieje róż naturalny, którego używały z dużym skutkiem nasze prababki i babki. Jest nim zwykły nasz burak czerwony. Jak się nim posłużyć? Bierzemy małe buraczki nie większe od monety 5-złotowej, obieramy ze skórki i delikatnie dotykamy policzka, rozprowadzając lekko palcami po skórze. Efekt ten sam, jak przy stosowaniu kosmetyków fabrycznych.

Wspomnę jeszcze o odżywczym działaniu na cerę miazgi ze świeżych truskawek, poza tym o przeciwpiegowym działaniu poziomek. Można by wyliczać w nieskończoność sposoby zużytkowania darów przyrody dla celów kosmetyki. Nowoczesne zakłady kosmetyczne, wzorując się na starożytnej pielęgnacji cery, oceniają już zbawienne działanie na cerę zwykłych naszych owoców (marchwi, ogórków itp.) i wprowadzając t. zw. maski kosmetyczne z zawartością środków naturalnych.

Sława Narzymska

Witaminy, witaminy...

Z radością witamy pierwsze wiosenne nowalijki. Osłabiony organizm na gwałt domaga się pewnych potraw, których w zimie tak bardzo odczuł brak: jarzyn i owoców. Zawierają one bowiem duży zasób substancji chemicznych, których organizm sam wytworzyć nie może, a które otrzymywać musi w stanie gotowym, t. zw. witamin.

Pamiętaj jednak o tym, że zarówno na wiosnę — kiedy kieszeń nie pozwala na nowalie — jak również w zimie nie możemy pozbawiać organizmu tych ważnych dla życia substancyj. Tym bardziej, że znajdują się one nie tylko w jarzynach i owocach.

Tak np. jajka posiadają dużą zawartość witaminy A (wzrostowa) i niewielką witaminy D (przeciwkrzywicowa). Masło zawiera bardzo dużo wzrostowych i trochę przeciwkrzywicowych witamin. Śmietana obfituje w witaminę A. Kartofel zaopatruje nasz organizm w witaminę C (przeciwgnilcowa). Najobficiej zaopatrzone w witaminy jest jednak świeże mleko (posiada witaminy A, C i D). Dużo witamin zawiera wątroba. Ilość witamin w produktach zależy od umiejętnego ich przygotowania. Należy pamiętać o tym, że należy jeść produkty zaraz po ich przygotowaniu. Smażone i pieczone potrawy zawierają więcej witamin niż gotowane.

Łańcuch składkowy
na dozbrojenie naszej armii

„Zadzior" pierwszy usłuchał wezwania „Blanki" i nadesłał na adres redakcji kwotę w wysokości zł. 5,—. Również zł. 5,— nadesłała „Jadwiga Limba", która jakkolwiek nie wezwana przez „Blankę", zsolidaryzowała się z nią całkowicie, dając tego realny dowód.

„Wilnianka" zł. 2,— i wzywa do bodajże najmniejszej ofiary: „Ariankę", p. Marylę P. z Koziegłowy, Romę z Sartowic Dolnych, Jaśka K — telegraf Nowogródek — „Serduszko Wilnianki", „Dżentelmena Śląskiego", „Ejgo-Ejgo"...

„Smutna Kazieńka" zł. 5,— i wzywa: „Białą Uajali", „Szarą Dziewczynkę", „Dziewczę z ludu", „Sportsmenkę z Kujaw", „Mogilniankę", „Tęsknotę z gór", „Szczęśliwą żonę", „Smutną Ślązaczkę", „Złotą Jutrzenkę", „Strzałę Amora", „Czarną Perełkę", „Wesołą wdówkę", „Grażynę"; „Słodką Jagódkę", „Smutną Mariolę", „Czekoladową Księżniczkę", „Dziewczę z Puszczy", „Złotowłosą", „Donię", „Stefcię i Lucię", „Samotnego — Chorzów I", „Starego kawalera", „Zrównoważonego Jasia", „Smutnokiego Jasia", „Szukającego Podchorążego", „Marzyciela Mulforda", „Belfra", „Enka-Ka" „Smutnego Marzyciela", „Pana Michała Wilińskiego z Pakości", „Pana Alfonsa Witte-Witeckiego z Pelplina", Pana Jarocha z Turzym.

„Mimoza" zł. 5,—.

EUGENIUSZ SEW

Purpurowy Banderillero

(Dokończenie)

Carmena — dmuchnęła Amerykaninowi w Paryżu i z trupą francuskich baletnic gościła w rodzinnym kraju, docierając na południe i zdobywając z czasem pierwsze miejsce w operetce. Siostrę traktowała nieco z góry, gdyż w hierarchii choreograficznej tancerki kabaretowe uważała za niższego pokroju artystki, zwłaszcza, że Elvira nie umiała wykorzystać korzystnego stanowiska w Madrycie, jakie jej proponował baletmistrz opery królewskiej.

Obie siostry nie widziały się od czasów wspólnego pobytu w domu ciotki dość długo, pochłonięte przeto wzajemnym wynurzaniem przeżyć, rozgadane i rozczulone — nie spostrzegły przygotowywań na arenie, nie zwróciły uwagi na rozpoczynające się turnieje z bykami.

Don Jose — pozostawiony własnym myślom, bębnił nerwowo palcami po balustradzie i lornetował uparcie przeciwległą lożę, w której pośród złotej młodzieży rewolucji — królowała Marietta. Jego uszu dolatywał dźwięczny sopran śpiewaczki, intrygował go obecnie — chociaż setki razy słyszał ogniste trele piosenek andaluzyjskich, czy refreny sentymentalnych romansów cygańskich. Spostrzegł nad wyraz melodyjny głos Marietty, wzbogacany kaskadami dzwoneczkowego śmiechu. Zadrgała w nim artystyczna żyłka.

— Ten Ramon — burknął pod nosem — ma szczęście... Co za boska kobieta, jakie kształty, jaki miękki głos...

Na arenę wychodzili kolejno początkujący matadorowie, po nich uwijali się zwinnie na rączych wierzchowcach torreadorowie. Staczali pomniejsze potyczki z młodymi bykami. Dla mistrza Zarandilli rezerwowano główną część programu, który był wedle przyjętego zwyczaju rozłożony na cały dzień. Widzowie — udając się do cyrku zabierali z sobą jedzenie, nagromadzone w olbrzymich koszach. Ucztowali cieleśnie i duchowo, łącząc emocje psychiczne z wyśmienitym apetytem na wolnym powietrzu.

Duch minionych cezarów pokutował na półwyspie iberyjskim w swojej najczystszej formie. Zmieniły się tylko okoliczności i zapaśnicy. Tłum — zawsze żądny wrażeń — pozostał jednakowy. Jak w dawne — zamierzchłe czasy — arena zakwitała pąsowymi krzakami róż, spod wiekowej patyny wywlekała żywe wspomnienie gladiatorów boskich władców Romy...

Elvira — po wyczerpaniu słownego repertuaru w pogawędce z siostrą — rozglądała się nerwowo na wszystkie strony. Jak tylko zoczyła Mariettę otoczoną rojem wielbicieli — odżyła w niej doznana uraza.

— Poczekaj — wyrzekła cichutko sama do siebie, gdyż Carmena rozprawiała obecnie żywo z don Josem — poczekaj — zapłacisz mi za swoje pesety...

Wychodząc z loży udała się do stajen, ciągnących się długim szeregiem z lewej strony areny. Stajenni uwijali się sprawnie, przygotowując niecierpliwe rumaki do występów torreadorów. Biegali — krzątali się — przynaglani nawoływaniami zapaśników z areny.

— Chivo — rzekła Elvira do wysokiego draba, trzymającego na uździe czystej krwi araba — Chivo! czy to rumak don Pabla?

— Czego pytasz, skoro wiesz — szorstko burknął stajenny.

— To tak! — Violecie inaczej gruchasz — z przekąsem odpaliła Elvira...

Mimo to — uśmiechając się zalotnie — zbliżała się do konia. W trakcie, gdy stajenny zamierzał nakładać siodło, Elvira kręciła się tuż przy rumaku, starając się odwrócić uwagę Chiva, głaskała koński grzbiet, zachwycała się entuzjastycznie jego linią, cienkimi nóżkami, zgrabną główką i sypiącym skry — dzikim błyskiem oczu, wywracając na wszystkie strony ozdobne siodło mistrza Zarandilli.

— Chivo — rzekła po chwili do stajennego, gdy ten odpychając wściupską piękność od rumaka — nie odpowiadał na jej zachwyty — Chivo! przymknij oczy! Dostaniesz całusa...

Drabisko — zdębiał — słysząc takie czułe i nieoczekiwane zgoła wyznanie tancerki — otwierając ze zdziwienia szeroko prostacze usta — nie wiedział, czy ma podciągać popręgi, czy wkładać wędzidło.

Z momentu tego skorzystała Elvira. Zwinnie, jak kotka — podskoczyła do stajennego, objęła jedną ręką szyję draba — wyciskając na brudnej i nieogolonej szczęce długi — namiętny pocałunek...

Po dokonaniu tego żartu — śmiejąc się głośno i pozostawiając osłupiałego stajennego — wróciła do loży. W gronie swoich najbliższych z podnieceniem oczekiwała występu don Pabla.

Zagrały fanfary. Na arenę wypuszczono olbrzymiego byka, przybranego dla podniesienia świetności momentu — kwiatami. Trzymane w ciemnościach zwierzę — przystanęło oślepione blaskami rozpalonego słońca. Słysząc ludzkie głosy — zmieszane otaczającym je zgiełkiem, którego nie mogło zrozumieć, podniosło w górę zakręcony ogon — a hasając z furją po arenie — wzbijało racicami tumany złocistego piasku. Sapiąc i wierzgając tyłem olbrzymiego cielska — rozjuszało się w miarę podrażniania rzucanymi z daleka przez matadorów banderillami. Ostrza grotów — ukrytych w małych chorągiewkach cięły bydło, jak osy, co podwajało wściekłość nieokiełzanego i rozjuszonego byka.

Z przeciwległej strony podjeżdżał na ognistym rumaku majestatyczny don Pablo. — W całym cyrku zawrzało gwałtownie, jak w ulu. Okrzyki zachwytu trzęsły powietrzem. Wielotysięczny tłum wył i ryczał składając w ten sposób hołd niezrównanemu mistrzowi Zarandilli.

Don Pablo — ubrany w obcisły góralski strój — wymachiwał sporą jedwabną chustką purpurowego koloru, trzymając równocześnie pod jej osłoną niezawodną szpadę. Nie pierwszy raz doskonała stal kładła jednym pchnięciem rozjuszone bydlęta na ziemię, nie pierwszy raz tańczyła w twardej i pewnej dłoni torreadora. W pewnym momencie, gdy ostrożnie zbliżał się do bydlęcia — rumak skoczył gwałtownie w bok, następnie — stając dęba — szamotał się wierzgał i nie chciał w żaden sposób słuchać woli jeźdźca. Don Pablo nie żałował razów rękojeścią szpady, ale wysiłek jego był daremny. Wierzchowiec w dalszym ciągu stawał dęba, znosił w bok — a rozjuszony byk walił susami w kierunku torreadora. Olbrzymie, umyślnie wyostrzone rogi, w które uzbroił swój łeb — szukały w niepohamowanej furii punktu zderzenia, do zmiażdżenia przeszkody...

Moment stawał się tym więcej groźny, że don Pablo nie mógł opanować konia, który z niewiadomych powodów uparcie wzdragał się ruszyć z miejsca, młynkując w koło najdziwaczniejsze podskoki.

Arenę zaległa cisza. Sekunda wydawała się wiekiem. Bijące serca wielotysięcznej tłuszczy — z zapartym oddechem śledziły zagasy torreadora z rumakiem... Gwałtowniejsi widzowie — jęli dawać zapaśnikowi wskazówki. Spowodowało to ogólny hałas, który na chwilę, jak nadpływająca fala oceaniczna — zagłuszył może i zbawienne uwagi dla Zarandilli. Zdezorientowane — naporem fali potężnego echa okrzyków, bydlę — zatrzymało się na ułamek sekundy, a biorąc szalony rozpęd rzuciło się na szamocącego się z rumakiem don Pabla. Zakrzywione olbrzymie rogi — podrzuciły jeźdźca wraz z koniem wysoko w górę — a następnie zwaliły na piasek areny...

Rumak — brocząc obficie krwią z przebitego boku — galopem sadził na oślep przed siebie. Zwalonego na ziemię mistrza Zarandillę dźgało rozjuszone bydlę rogami i podrzucało niemiłosiernie, wzbijając olbrzymie tumany kurzu...

Pierwszy oprzytomniał Juanon. Podjeżdżając do byka — celnym pchnięciem swojej szpady zwalił zwierzę na ziemię.

Szkarłatna posoka sączyła się z ran niezrównanego mistrza — człowieka i niepohamowanej w furii ofiary — zwierzęta. Piasek sewilskiej areny okrywał się rubinami, a sucha ziemia — spragniona tego dziwnego płynu — dającego życie — piła pożądliwie tajemniczy nektar. Miałaż się upajać rodzima gleba w niedługim czasie całymi potokami — rzekami — morzem krwi bratniej, rozlewanej okrutnie w bratobójczej walce kainowej o prawa odwieczne — prawa życia i śmierci, dwóch zmagających się potęg. Do zapasów stanęły: bezwzględna i okrutna partia rządowa republikanów i umiarkowana, oraz podyktowana głosem rozsądku narodowa Hiszpania. Zmagania tych potęg hojnie poiły spragnioną ziemicę posoką poróżnionych braci. W arenę zamieniło się całe państwo przepędzonych Burbonów, widzami zaś stała się Europa, śledząca z obawą rozgrywkę mistrza Franco z rozjuszonym i zaślepionym Azaną...

Dla don Pabla nie było już ratunku. Przebita klatka piersiowa i pogruchotany kręgosłup — broczyły krwią, z którą uciekało na oczach życie niezrównanego torreadora. Nabrzmiałe wargi w śmiertelnym skurczu poruszały się wolno — wydając oschłe dźwięki, których znaczenie niesposób było odgadnąć.

Zrozpaczona Marietta trzymała głowę mistrza na kolanach. Swoim szalem ocierała krople zimnego potu na skroniach konającego torreadora.

— Milutki — najdroższy — tuląc swoją twarz do policzków Zarandilli — szeptała namiętnie. Dotykając sztywniejących członków don Pabla — zanosiła się od łez i łkania.

Zwłoki kazała zanieść na swoje patio...

— — — — — — — — —

Badając rumaka don Pabla Juanon, znalazł pod derką przy siodle dwie ogromne szpilki, używane przez niewiasty do spinania szali. Swoje odkrycie wyjawił Ramonowi Dupont.

Stajenny Chivo — trząsł się, jak w febrze. Do nikogo nie odzywał się, na pytania nie dawał żadnej odpowiedzi, bezmyślnie powtarzał tylko jakby mówił sam do siebie:

— To ona! Tak...

— Przeklęta...

Władze nie wiedząc o odkryciu Juanona, nie zwróciły uwagi na paplaninę Chivy. Uznano wydarzenie na arenie, jako powód śmierci Zarandilli.

Po pewnym atoli czasie Ramon Dupont w sprzeczce z Mariettą wyjawił jej okrutną tajemnicę. Cyganka zmarszczyła cieniutkie brwi, skupiając całą swą istotę nad znaczeniem słów młodzika. Nie zwracając uwagi na jego androny, które plótł teraz w uniesieniu — zorientowawszy się w swojej popędliwości.

— Zostaw mnie — wycedziła przez zęby i odpychając natręta od siebie rzekła stanowczo śpiewaczka.

Nielada sensację wywołał w Sevilli proces o zabójstwo tancerki Elviry. Wytoczyła go Carmena Marii. Cyganka bowiem bezpośrednio po wyjawieniu przez Ramona tajemnicy — udała się do baru pod Czarnym Krukiem i tam zasztyletowała tańczącą Elwirę.

Sala rozpraw ściągnęła spore grono artystycznej cyganerii i tłumy ciekawskich. Gdy trybunał rozpoznawał sprawę — do dusznej sali przez otwarte okna doleciał daleki głuchy odgłos grzmotów. To marokańskie oddziały pod osłoną pancerników zdobywały port w Kadyksie.

Rozprawę przerwano. Sprawa Marietty zmalała wobec postępujących z błyskawiczną szybkością wypadków chwili. Carmena i don Jose uciekli z partją rządową do Madrytu.

Władze powstańcze uniewinniły śpiewaczkę. Marietta wstąpiła w szeregi jako samarytanka. Ocierała teraz łzy i krew braciom walczącym za sprawę narodowej Andaluzji — narodowej Hiszpanii. Chociaż była gitaną — chyliły przed nią czoło markizy. Za walory swego serca lubiana i poważana powszechnie. Wyróżniał ją stale i stawiał za wzór kapelan polowy dominikanin o. Urizabal.

Chivo nie mógł otrząsnąć się z melancholii. Popijając perlistą malagę pod Czarnym Krukiem i racząc się zbytkowną szkandellą — opowiadał za poczęstunek przygodę purpurowego banderillera, jak nazywał obecnie zgasłego mistrza. Spluwając niedopałek z papierosa — klnął siarczyście, a następnie żegnał i bił w piersi — kając się za to, że nie zdołał przeszkodzić wypadkowi.

— Hiszpania, — krzyczał w zapale, podchmielony mocnym winem — straciła największego torreadora, jakiego znały świat i dzieje...

Koniec.

Słownik wyrażeń hiszpańskich:

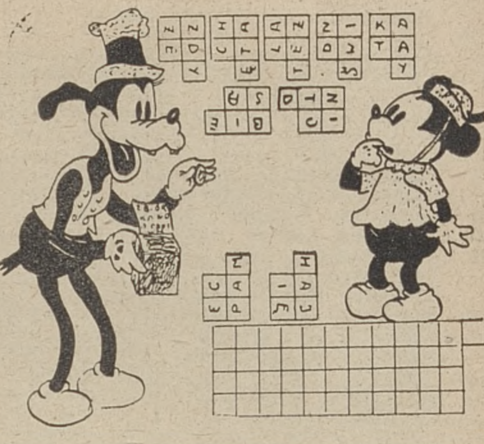
Banderillero — rzucający przy walce byków banderillą — chorągiewką z zakrzywionym grotem, Duros — moneta (jej nazwa), Gitana — cyganka, Don — Donna — pan, pani, Garbanzos — suszony czarny chleb, smarowany czosnkiem, używany do gotowania zup, Matador — zapaśnik walczący z bykami pieszo — Torreador — na koniu, Peset — moneta obiegowa, Real — moneta (około 0,25 frank.) Patio — wewnętrzne podwórko w domu, Szkandella — omlet ze szynką — przysmak hiszpański, Sevillana — narodowy taniec andaluzyjski.

Chwila zastanowienia

UKŁADANKA

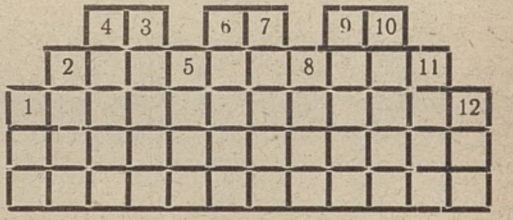
uł. F. Gałęcki (Czł. War. Kl. Szar.)

Poniższe kostki ułożyć szczelnie w figurę tak, aby odczytać rozwiązanie począwszy od lewej do prawej.



LOGOGRYF

ułożył „En-Ka".



Czytając drugi rząd od dołu, otrzymamy nazwę tygodnika.

Znaczenie wyrazów.

1. „Kocham" po łacinie.
2. Prowadzi przez rzekę (wspak).
3. Państwo w Europie.
4. Środek lokomocji.
5. Potrawa.
6. Instrument muzyczny.
7. Państwo w Europie.
8. Instrument muzyczny (wspak).
9. Imię męskie.
10. Rodzaj uczucia.
11. Część twarzy (wspak).
12. Zwierzę dzikie.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 26 maja br.

Rozwiązanie zadań z nr. 19 „Moich Pow.":

I. Logogryf podwójny:

Wyrazy w logogryfie są jedne choć mają po dwa oznaczenia.

C Y N K
Z E F I R
Y O R K
Ś R U T
C A R
I R E N A
E D E N
C Z A D

CZYŚCIEC

II. Bilety wizytowe: 1) Komendant 2) Krainianka 3) Kolega.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Bilski Roman — Poznań, Kłopocki Jan — Poznań, Grosik Zygmunt — Katowice, Zieliński Leon — Toruń.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Kłopockiemu z Poznania i Grosikowi z Katowic.



Niedziela, dnia 21 maja 1939 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Nabożeństwo z Lublina — po nabożeństwie ok. 10.30 — muzyka 11.15 Reportaż z walnego zjazdu Zw. Harcerstwa Polsk. w Lublinie 12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa 13.15 Muzyka obiadowa 14.40 Wszystkiego po trochu — aud. dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Recital fortepianowy Trombini — Kazuro 17.00 „Jak pracuje teatr w Warszawie" — montaż radiowy 17.45 „Festyn na Wysokim Zamku" — koncert rozrywkowy ze Lwowa 19.50 „Wrażenia z Włoch" suita Charpentiera 20.15 Transmisja z centralnych Biegów Narodowych 21.20 Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej 21.50 „Sen w ogrodzie" — słuchowisko 22.40 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 22 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.20 „Suita hiszpańska" Lacome 11.30 Audycja dla poborowych 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 Orkiestra współczesna — audycja dla liceów 15.00 „Tajemniczy ogród" — słuchowisko (II lcz). 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.35 Koncert kameralny 17.25 Nowe pieśni i kurdesze korporacyjne — koncert 18.00 Trio salonowe 18.30 Audycja strzelecka 19.00 Koncert rozrywkowy z Poznania 20.00 Audycja dla wsi 21.00 „Echa mocy i chwały" 21.15 Transmisja z Londynu 9. Symfonii Beethovena 22.45 Antoni Vivaldi — Concerto a quatre.

Wtorek, dnia 23 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół: „Niewidzialni wrogowie" pogad. 11.15 Koncert muzyki organowej 11.30 Audycja dla poborowych 15.00 Straszne przygody Toffi — opowiadanie dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.30 Pieśni Rumuńskie 17.00 Schmann: Andante con variationi Des-Dur 17.25 „Wrota Wschodniego Kanału Suezkiego" 17.35 Z pieśnią po kraju 18.05 Koncert 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 21.00 Opowieść o Moniuszce 22.15 Koncert Eugenii Umińskiej.

Środa, dnia 24 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół: „Kłopoty Promyka" słuchowisko dla dzieci 11.25 Koncert 11.30 Audycja dla poborowych 15.00 Audycja dla młodzieży: „Nasz koncert" 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.20 „Niebezpieczna zabawa" (cykl „Dom i szkoła") — pogadanka 16.35 Utwory wiolonczelowe Saint-Seansa 17.15 Orkiestra smyczkowa Zw. Muz. Chrześcijan 18.00 Koncert 18.40 Obóz w dolinie ugusu — repotaż z polskiej wyprawy do Abryki 19.00 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 20.15 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert chopinowski 21.45 Fragmenty z opery „Traviata" — Verdiego.

Czwartek, dnia 25 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół: poranek muzyczny 11.30 Audycja dla poborowych 15.00 „Gejzery" — pogadanka dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa 16.20 Życie kulturalne wsi — odczyt dla młodzieży licealnej 16.40 Koncert Orkiestry Wojskowej 17.30 Recital organowy F. Nowowiejskiego 17.55 „Między Azją i Afryką" — felieton prof. M. Siedleckiego 18.05 Walce charakterystyczne 18.30 Arie operowe w wyk. Ady Sari 19.00 Melodie taneczne 20.15 — Polska muzyka rozrywkowa 21.00 Recital skrzypcowy Ernesta Glasera 21.30 „Napoleon": — audycja z cyklu „Pochodnie wieków" 22.00 Muzyka taneczna 23.05 Koncert muzyki polskiej.

Piątek, dnia 26 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół: „Kazimierz Tetmajer" 11.30 Audycja dla poborowych 15.00 „Zagadki historyczne" — aud. dla młodzieży 15.35 Muzyka obiadowa z Wilna 17.20 „Pieśni amerykańskie" — koncert 17.40 Strażnicy dalekiego Wschodu — felieton prof. M. Siedleckiego 18.05 Wesołe melodie na instrumenty solowe 18.30 „I co z takim zrobić" — komedia 19.00 Rozmaitości muzyczne 21.00 „Lato" — fragment z oratorium Haydna 21.55 Miniatury kwartetowe.

Sobota, dnia 27 maja 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół: „Śpiewajmy piosenki" 11.30 Audycja dla poborowych 15.00 Obrazki słuchowiskowe „Opowieści słoneczne" — dla dzieci 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.35 Utwory na flet 17.00 Nabożeństwo majowe znad Świtezi 18.00 Koncert 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Koncert rozrywkowy 20.00 Audycja dla wsi 20.55 Transmisja fragmentów meczu piłkarskiego Polska — Belgia 23.15 Muzyka obiadowa.



NIE KOPERNIK

Tęga dama z dalekiej prowincji zwiedza Warszawę, jeżdżąc po mieście tramwajem. Jest z lekka podniecona i zanudza sąsiadów rozmową.

Właśnie wóz zatrzymał się na Krak. Przedmieściu. Dama trąca konduktora parasolką i pyta

— Panie, czy to Kopernik?

— Nie — odpowiada z zimną krwią tramwajarz, — to moje ramie.

W SZKOCJI

Rzecz dzieje się w Szkocji. Zdenerwowany lekarz wbiega do sali ogólnej, podchodzi do jednego z pacjentów i mówi:

— Najmocniej pana przepraszam, ale podczas operacji zostawiłem w pańskim żołądku rękawiczkę, wobec czego będzie pan musiał zgodzić się na ponowny zabieg chirurgiczny.

Chory myśli dość długo, wreszcie pyta:

— A ile kosztuje para rękawiczek?

— Szylinga.

— To dolicz pan pół szylinga do rachunku i daj mi pan święty spokój.

ZNAJOMA TWARZ

— Twarz pańska jest mi dziwnie znajoma. Musiałem już ja widzieć w innym miejscu.

— Omyłka. To nie byłem ja.

— Ale zapewniam pana...

— Powiadam panu, że to musiał być kto inny. Ja noszę twarz na tym samym miejscu.

SŁUSZNA OBAWA

Bileter nie chce wpuścić do sali damy, która spóźniła się na koncert.

— Dlaczego pan mnie nie puszcza? — zawołała oburzona.

— Bo... proszę pani, drzwi podczas śpiewu nie wolno mi odtworzyć, gdyż połowa publiczności rzuciłaby się zaraz — do wyjścia.

ZA PÓŹNO

Pan przodownik rozmawia przez telefon:

— Że co? Mówi pani, że ten pamiątkowy zegarek się znalazł, że był w torebce. Za późno, proszę łaskawej pani, za późno. Złodziej jest już pod kluczem.

MAŁY SZANTAŻYSTA

— Tatusiu, jak mi dasz pół złotego, to ci powtórzę, co ten pan z elektrowni powiedział dziś do mamusi.

— Masz tu złotówkę — woła ojciec podniecony — i mów!

— Powiedział: „Rachunek za grudzień wynosi 18 zł. 37 gr."!

NAD MORZEM

W jednym z kin w Gdyni wznowiono znany film p. t. „W każdym porcie dziewczyna".

Młoda warszawianka, która była właśnie na przedstawieniu z oficerem marynarki, jest z lekka rozmarzona.

— Mam nadzieję — mówi — że pan nie należy do kategorii tych marynarzy, co to w każdym porcie mają narzeczoną.

— Ależ skądże — protestuje marynarz — dużo jest jeszcze portów na świecie, w których nigdy nie byłem.

SŁABA PŁEC

Pan Agapit chwali się:

— My mężczyźni wszystko wiemy!

Na to jego żona:

— Możliwe... Ale my kobiety wszystko wiemy lepiej...

NA WYWIADÓWCE

— Panie Podkowa, pański syn nie uważa podczas nauki i w ogóle czyni wrażenia zaspanego.

— Panie profesorze, czy nie jest to aby talent, który w chłopcu drzemie?

WYJĄTEK

— Czy wiesz, która ze słynnych gwiazd Hollywoodu nigdy się jeszcze nie rozwodziła?

— Nie ma takiej.

— Owszem, jest Shirley Temple.

NIEPRZYZWOITY POSTĘPEK

— Dlaczego pan doktor nie odkłonił się temu panu?

— Bo postąpił ze mną nieprzyzwoicie: u mnie na proszonym obiedzie popsuł sobie żołądek, a leczy się u innego lekarza.

OSTATNIE ŻYCZENIE

W niektórych krajach tracą złoczyńców za pomocą gazu trującego. W jednym z tych państw wprowadzono właśnie do celi stracenia skazańca.

— Czy ma pan jeszcze jakie życzenie? — pyta prokurator.

— Tak — odpowiada skazany — proszę mi dać maskę przeciwgazową.

PIERWSZY KROK

— Daj mi papierosa, Emilu!

— Powiedziałeś mi przecież, że już nie palisz?

— Zrobiłem już takie postępy, że nie kupuję papierosów.

DAŁ DO ZROZUMIENIA

— Jestem strasznie zdenerwowany i wszystkiemu winna poczta. Chyba pójdę i zrobię awanturę urzędnikom pocztowym.

— A co się stało?

— Wyobraź sobie, że dotychczas jeszcze nie doręczono mi pieniędzy, które obiecałeś mi zwrócić pocztą już przed dwoma miesiącami.

TEŻ SPOSÓB

— Gdzie tu jest w tym hotelu to centralne ogrzewanie, o którym piszecie w ogłoszeniach.

— Owszem, jest. Ogrzewa się środkowy pokój, a do innych pokoi otwiera się drzwi.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.